Nr. 40. Warszawa, dnia 25 Września (7 Października) 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50. rocznie rb. 10

Adres: Sadowa Nr. 7.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Administracya PRAWDY przeniesiona została na ulicę Sadową Nr. 7 (przy Marszałkowskiej).

POLITYKA.

NOWA PRÓBA

Cały tydzień z górą zajęły rokowania cesarza austryackiego z wybitnymi mężami stanu, zanim udało mu się d. 2 b. m. dać następców gronu ministeryalnemu, któremu do d. 23 z. m. przewodził hr. Franciszek Thun. Przemykali się przez objektyw gabinetu cesarskiego najrozmaitsi doradcy, najrozmaitsze powagi przeszłe, teraźniejsze i przyszłe. Jako kandydaci występowali kolejno: Alfred Lichtenstein, żarliwy antisemita, wciągnięty i trzymany w zaczarowanem kole przez swego brata, księcia Aloizego, człowieka w stylu możnowładczo-średniowiecznym; Oswald Thun, brat ustępującego prezesa, człowiek bez stylu: Gautsch, były prezes i poprawiacz rozporządzeń językowych z r. 1897; mignął też nawet błyskawicznie Chlumetzky: i z całej tej migawkowości wyszedł ostatecznie hr. Clary-Aldringen, z romantycznem imieniem Manfred, namiestnik styryjski, zalecony przez barona Chlumecky'ego, czyli przez Niemców, tamujących działalność państwową Przedlitawii. Nowy ten *homo novus* wraz z gabinetem swoim tworzyć będzie właściwie tylko machinę do naglących robót rządu; nie ma nawet ambicyi sięgającej wyżej: jego gabinet jest urzędniczym, z radców, z dyrektorów i wszelkiego miana naczelników złożonym: nie powstał z plazmy parlamentarnej i nie z parlamentu wziął tchnienie życia. To właśnie jedynie czyni go do życia zdolnym.

Duch parlamentu, sejmu przedlitawskiego — to choroba, to śmierć, to rozkład i upadek. W dzisiejszej organizacyi państwa, przy zniesieniu zupełnem udzielności krajów w zbiorowym organie władzy prawodawczej, wskutek tej reformy zabójczej, wprowadzonej przez Niemców w r. 1873 do konstytucyi z r. 1867, życie polityczne Przedlitawii może być tylko albo ciągłem darciem się za łby, a gdy dobrze pójdzie, to i skalpowaniem żywych czaszek między Niemcami a narodowościami słowiańskiemi, albo też ustawicznym tańcem wśród mieczów, kuglarstwem, nogami omijającem ostrza zasad, dążeń i żądań, a rękami zamydlającem oczy stronnictwom, kolejno dopuszczanym do łask, jeśli nie teraźniejszych, to przyszłych. Tą drugą metodą rządził przez lat kilkanaście hr. Taaffe; pierwszą wprowadziła naturalna nienawiść mas narodowych, ale zaostrzył, wydoskonalił, w ruch przedtem niebywały wprawił hr. Badeni, wydając bez porozumienia się ze stronnictwami, bez utorowania drogi nowym stosunkom — owe nieszczęsne rozporządzenia z kwietnia i maja 1897 roku. Pomiędzy temi dwiema politycznemi metodami rządzenia Przedlitawią leży trzecia: nierządzenia wcale, zdania wszystkiego na łos i łapania co się da, byle tylko podtrzymać te funkcye organizmu państwowego, których ustanie musiałoby sprowadzić śmierć z wewnątrz, rozpadnięcie się od środka. Takie ma obecnie powołanie gabinet hr. Clary-Aldringen.

Skład gabinetu Clarego jest magazynem nazwisk bez treści: tem wypuklej przedstawia się oczom cała urzędniczość nowego akumulatora władzy politycznej w Przedlitawii. Sam prezes, będąc namiestnikiem, był więcej jeszcze rolnikiem, wielkim właścicielem ziemskim, i obrał też sobie w swojej kompanii jako specyalność— rolnictwo. Pierwszy to chyba prezes gabinetu, niesięgający swojem wyrobieniem politycznem po nad pług i młockarnię. I Cavour wprawdzie zajmował się rolnictwem i handlem, ale Cavour był przytem i świetnem nazwiskiem narodowem i ogólnie uznawaną narodową siłą. Pod Clarym, z wyjątkiem Witteka (koleje) i Welsersheimba (wojsko), samo doktory i naczelniki, same nazwiska wymawiane przez nicość. Dr. Körber jest ministrem spraw wewnętrznych, dr. Stibral ministrem handlu, dr. Kniaziolucki „kierującym ministeryum skarbu,“ dr. Kindinger — min. sprawiedliwości, dr. Hartl — min. oświaty i wyznań religijnych; wreszcie— oddychamy— dr. Kazimierz Chłędowski, literat, szef sekcyi i hofrat — ministrem *dla* — czy *od* Galicyi. Czechy ministra nie dostały: a to samo już wskazuje, że nowy gabinet pójdzie przeciwko nim. Jakoż trzypunktowy programat jego w pierwszym punkcie mieści odwołanie rozporządzeń językowych, nawet przed zebraniem się Rady państwa — zatem wojnę z Czechami. Zmieni się tylko kierunek ognia działowego — ogień sam zostanie. Nawet gabinet urzędniczy musi być wojującym: bez walki niczego zrobić niepodobna; wybiera się nieprzyjaciół słabszych, przejednywa silniejszych, i idzie się w bój bez wiary w zwycięstwo. I według poważnego prawdopodobieństwa zwycięstwa nie będzie. Gabinet nie doczeka chwili, w którejby mógł dwa pozostałe punkta swego programatu, a raczej zlecenia, które i od cesarza i od naglącej potrzeby państwa otrzymał, wykonać.

Nie uda się hr. Claremu — nie uda się nikomu, kto nie staje z programatem zasadniczym, nie opiera się na większości, nie myśli o przyszłości, nie widzi konieczn-

ności przynajmniej powrócenia do konstytucyi z r. 1867 — nikomu nie uda się przeprowadzenie przez Radę państwa ogólnej ustawy językowej, a może nawet wyboru delegacyi i uzupełnienia ugody z Węgrami. Ta ostatnia niemożność byłaby klęską: odwrócić ją powinno trochę przywiązania, jeśli nie do Austryi, co już musiałoby być dla niej samej wyrokiem, to do samych siebie, własnego bytu, do tych warunków, które pomimo całej swej ułomności pozwalają jednakże narodowościom, przepaską „Przedlitawia" związanym, żyć lepiej i pełniej, niżby bez tego węzła żyć mogły. Nigdzie sarkazm *pereat mundus, fiat institia* — nie miał tak dobrego za sobą prawa, jak w Austryi, ilekroć wyznawana zasada życia politycznego przez swą bezwzględność życie samo zabija. Delegacye wybrane być muszą, wybrane być powinny: a potem już niech się krew leje, niech nóż niezgody, dążenie odśrodkowe — hasa, powala i zarzyna, kogo zechce. To jednak spełniwszy, co jest do życia niezbędnem, stronnictwa prawicy, mające liczebną większość, powinny wytrwać w oporze przeciwko Niemcom, przeciwko gabinetowi wyraźnie stempel niemiecki, choć blady jeszcze, nieśmiały, na sobie noszącemu i zgruchotać go jak najprędzej. Zwłaszcza Kołu polskiemu, które powinno iść na czele, nietylko liczbą, ale i myślą i żądzą, przypomnieć potrzeba obowiązek wytrwania w zasadach, obowiązek uczciwości politycznej i zarazem interesu politycznego na jutro, nie na dziś. Niechaj p. Rutowski uśmiecha się do Niemców: większość Koła powinna dochować wiary Czechom i dążyć do zespolenia pod sobą wszystkich narodowości słowiańskich z hasłem federalizmu. Taki był i taki będzie jedyny program Koła, jego prawo i obowiązek i zawieszony nad nim miecz sądu.

Tydzień polityczny. *Wiener Ztg.* ogłosiła nominacye nowych ministrów, kierujących ministeryami i tymczasowo sprawujących obowiązki w d. 3 b. m. Czesi pozwoływali już wiece, aby radzić nad spadkiem, który im się dostaje po lewicy niemieckiej nieprzejednanej, chociaż i ta lewica nie jest jeszcze dla gabinetu Clary-Aldringen pomimo zobowiązań i obietnic zapewnioną.

Wstawienie się królowej Wilhelminy do królowej Wiktoryi, manifestacye współczucia narodowego w Amsterdamie, wreszcie sama nieludzkość sprawy angielskiej w zatargu z Transwalem, przemawiająca już własnemi ustami do sędziwej Cesarzowej Indyj, królowej W. Brytanii, królestw Zjednoczonych i niezliczonych kolonij — przyniosły do Warszawy we czwartek wiązkę wiadomości dopuszczających możliwość, jeśli nie zupełnego zapobieżenia wojnie, to wprowadzenia stosunków nieprzyjacielskich w łożysko nowych układów, nowych wymagań jednej strony, nowej może gotowość drugiej do ustępstw. Boerowie odstępują od granic Natalu.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

DLA PRACOWNIKÓW ROLNYCH

Od kilku lat wlecze się u nas sprawa zabezpieczenia bytu pracowników rolnych. Roztrząsano ją niejednokrotnie na posiedzeniach naszego ogniska ziemian w Warszawie, podawano najprzeróżniejsze wnioski, toczono walki zażarte i przy tej sposobności wymyślano oficyalistom od Mielczarków, dla których pomoc jest zbyteczna, tworzono delegacye, naradzano się również specyalnie nad tą sprawą w gub. Płockiej, ofiarowywano nawet fundusze, wreszcie z wielkim mozołem opracowano projekt i przesłano go zatwierdzenia właściwej władzy. W sferach odpowiednich plany naszych ziemian uznano za niewłaściwe i odrzucono ich wnioski. Czegóż po tem wszystkiem należy się spodziewać? Naturalnie zaniechania tych starań raz na zawsze. Taki los bowiem spotkał już niejedną ważną sprawę naszego życia. Jest atoli punkt wyjścia, który nietylko pozwoliłby wskrzesić zniweczone zabiegi, lecz skierować je na grunt praktyczny drogą przygotowaną i uproszczoną. Oto bowiem ministeryum zatwierdziło niedawno ustawę dwu instytucyj, zbliżonych nieco do tej, o jaką starano się dla naszych oficyalistów rolnych, mianowicie kasę rolniczą oszczędnościowo-emerytalną w Kijowie i Towarzystwo wzajemnej pomocy pracowników rolnych w Tambowie. Obie mogłyby nam posłużyć za wzór do organizacyi, która niewątpliwie dałaby się już łatwiej przeprowadzić przez wszystkie szczeble formalności. Zapoznajmy się z zasadniczą treścią działalności tych obu ognisk pomocy. Kasa kijowska, zatwierdzona dopiero w ubiegłym miesiącu, zalicza do swej klienteli osoby, trudniące się rolnictwem i połączonemi z niem gałęziami przemysłu, tudzież oficyalistów rolnych i stałych robotników. Mogą oni umieszczać na procent swoje oszczędności, które będą wydawane im lub ich rodzinom na żądanie, w w postaci kapitału zebranego lub odpowiedniej emerytury. Nadto, rolnicy i gospodarze wiejscy tudzież właściciele zakładów rolniczych przemysłowych, pragnący ubezpieczyć swych oficyalistów, mogą wnosić do kasy składki, przeznaczone dla ich pracowników lub ich rodzin, jako kapitał lub zapomoga emerytalna. Członkowie kasy mogą także korzystać z pożyczek krótkoterminowych i zapomóg doraźnych.

Członkami kasy mogą być osoby płci obojej. Dzielą się oni na honorowych, protektorów, rzeczywistych i uczestniczących. Członkami honorowymi mogą być ludzie zasłużeni, troskliwi o dobro kasy i pracowników. Członkami protektorami — ci, którzy wnosić będą do kasy rocznie 5% od pensyi swych oficyalistów na zabezpieczenie bytu wszystkich lub niektórych, zarówno członków rzeczywistych, jak i innych. Członkami rzeczywistymi mogą być właściciele ziemscy, dzierżawcy i wogóle osoby trudniące się rolnictwem, oficyaliści

---

Napoleon Rouba.

PAN RZĄDCA.

Rządca nareszcie znalazł się sam z sobą i ze swoim własnym czasem; więc przeciągnął silnie ramiona, otrząsnął się ze śpiączki, odprawił Wincentego i zasiadł do czytania przy świetle lampy i świeżych, z okna idących podmuchów cichego, letniego wieczora.

Było mu dobrze. Odosobniony, zamykał się skwapliwie we własnym światku i żył o tej godzinie wolny od jakichś pęt, które coraz częściej dusiły go za gardło w ostatnich czasach.

Płacono mu za inteligencyę, płacono za dobre wychowanie, więc często musiał chodzić niby padeł układny lub gwizdać jak szpak uczony. Zdarzały się chwile, kiedy wściekał się na siebie i otoczenie, a musiał milczeć lub — ogryzać własne paznokcie.

Coraz częściej, coraz wyraźniej stawało przed nim upokarzające uczucie, że dziedzic go głaszcze i otacza dobrocią, aby tem łatwiej mógł szczuć na gromadę bosą, zczerniałą i ciemną.

Jemu osobiście wolno było wszystko, lecz nie tej gromadzie, za którą on również odpowiadał przed eleganckim i ugrzecznionym dziedzicem.

Lecz teraz o tem wszystkiem nie myślał.

Już się załatwił z dziennikiem, już przejrzał na prędce pismo obrazkowe, gdy stłumione szepty za oknem zwróciły jego uwagę.

Wincenty już odszedł przed chwilą. Należało wyjrzeć przed dom samemu w imię obowiązków rządcowskich lub czekać spokojnie, co dalej nastąpi.

Wybrał to ostatnie.

Już szepty ustały, a zaraz potem cichutko ozwał się dzwonek w przedpokoju, trącony nieśmiało otwieranemi drzwiami.

I znowu cisza.

— Kto tam? — spokojnie zapytał gospodarz.

Ale nie otrzymał odpowiedzi.

Wtedy zapalił świecę i ruszył przez kancelaryę do ciemnego przedpokoju.

— Niech będzie pochwalony! — usłyszał pozdrowienie od trzech niewieścich postaci, z których każda radaby być ostatnią i skryć się za inne.

Odgadł winowajczynie, choć twarzy nie mógł dojrzeć pod nawiązanemi na głowach chusteczkami.

— Przebrzydłe baby, niema dla was ani płota, ani grozy, ani uczciwości - wybuchnął gwałtownie.

Wszystkie trzy pochyliły się do jego kolan, a młoda i ładna mężatka, Bartczkowa wystąpiła odważnie:

— Jeno garsteckę wzienam, wielmożny panie dla krowiny, bo nie mogłam iść na chwast dla dzieciątka, co mi drugi już dzień słabuje.

— A tak! zawsze coś zmyślicie! No, a wy? Czy także jakie dzieciątka wam pochorowały? — pytał gniewnie, zwracając się do arystokratycznej kowalczanki i Franki, *takiej sobie* dziewuchy.

Zasmuciły się obie okrutnie, a szesnastoletnia, smukła Zośka, obrzuciła rządcę spojrzeniem niemal łzawem.

— No, i czegoż teraz chcecie ode mnie? — spytał wtedy łagodniej.

— Dopraszamy się łaski wielmożnego pana... - rozległy się trzy głosy wraz z trzema przyklęknięciami ku jego nogom.

— Nic wam nie poradzę. Przed chwilą zawiadomił mię dziedzic, że poda na was skargę do sądu.

— O la Boga! - - jęknęła Franka, jakby już z góry wyjęta z pod wszelkiego prawa.

Ale dwie inne zachowały się zgoła inaczej.

Bartczkowa mruknęła, jak z łaski.

— Niech będzie... — i trzasnęła drzwiami na wychodnem, a Zośka, taka niby nieśmiała zawsze, teraz iskrzącemi oczyma spoglądała na rządcę, pytając zuchwale:

— A cóż mi sąd zrobi za tę garść trawy?

- Zapłacicie karę lub odsiedzicie już w kozie.

rolni i stali robotnicy w majątkach, fabrykach wiejskich, warsztatach i zakładach, technicy, rzemieślnicy, nauczyciele, lekarze, felczerzy, wogóle ludzie pozostający na służbie w majątku ziemskim, fabrykach, warsztatach i zakładach wiejskich. W poczet członków-uczestników zaliczeni są ci oficyaliści, za których składki opłacają członkowie-protektorowie.

Członkowie rzeczywiści przy wstąpieniu do kasy wnoszą jednorazowo 5 rubli i składają deklaracyę, że będą wnosić do kasy 5% od rocznej pensyi lub dochodu w oznaczonych terminach.

Inny charakter nosi Towarzystwo tambowskie. Jest ono na wzajemności oparte. Przedewszystkiem tedy ma na celu niesienie członkom pomocy materyalnej w razie niedoli lub starości, wyszukiwanie zajęcia członkom stowarzyszonym, tudzież kształcenie umysłowe uczestników i ich rodzin.

Członkowie stowarzyszeni i ich rodziny mogą korzystać z krótko i długoterminowych pożyczek i funduszów Towarzystwa, z jednorażowej pomocy pieniężnej, wreszcie ze stałych zapomóg. Towarzystwo ma prawo otwierać szkoły i ochrony dla swych członków, biblioteki i czytelnie, udzielać pomocy lekarskiej i szpitalnej, płacić za pogrzeby, tj. brać swych członków i ich rodziny w zupełną opiekę materyalną, moralną i umysłową. Kapitał zakładowy Towarzystwa powstaje z wszelkich ofiar dobrowolnych, wpisowego członków rzeczywistych, z 10% składek członków, z ofiar członków honorowych i protektorów. Kapitał ten może być użyty jedynie na kupno nieruchomości, potrzebnych dla Towarzystwa.

Członkowie-protektorowie muszą wnieść przynajmniej 50 rb. jednorazowo, honorowi nic nie wnoszą, ale muszą położyć jakieś zasługi względem Towarzystwa. Członkowie rzeczywiści dzielą się na trzy kategorye: 1) płacących 5 rb rocznie lub 60 jednorazowo; 2) 15 rocznie lub 180 jednorazowo i 3) 25 rocznie lub 300 jednorazowo. Nadto każdy członek musi wnieść na rzecz funduszu żelaznego połowę swego dochodu rocznego.

Składki roczne należy płacić w ciągu 15 lat, po upływie zaś tego okresu, nie płacąc nic, można korzystać z wszelkich praw członka. Przyjmowanie odbywa się drogą balotowania.

Jak widzimy, Towarzystwo tambowskie ma zakres dość szeroki (może tylko zanadto jest uciążliwy jeden warunek: obowiązek wniesienia połowy rocznego dochodu na rzecz funduszu żelaznego). Ustawa zaś kasy kijowskiej mogłaby tylko posłużyć poniekąd za wzór do jednego z organów Towarzystwa. U nas pożądane byłoby stworzenie takich instytucyj w każdej gubernii, jako zupełnie odrębnych i samodzielnych, bądź założenie głównego ogniska w Warszawie z filiami w guberniach.

W chwili obecnej rozpoczyna się już sezon posiedzeń i narad. Warto więc, ażeby rolnicy nasi wnieśli tę sprawę na porządek dzienny sekcyi rolnej. Śród jej członków znamy szczerych i gorących rzeczników sprawy oficyalistów rolnych (między innymi p. Bolesław Zdziarski). Byłoby więc pożądanem, ażeby inicyatywa wyszła od nich, jako ludzi obeznanych ze sprawą i prawdziwie odczuwających ciężkie położenie licznej rzeszy pracowników.

LISTY PETERSBURSKIE.

Okólnik ministra oświaty.

Okólnik ministra oświaty do kuratorów okręgów naukowych w sprawie reformowania szkolnictwa średniego jest niezwykłym wypadkiem w dziejach oświaty współczesnej, a ponieważ całą kwestyę stawia odrazu na gruncie praktycznym i zapowiada stanowczy program prac reformatorskich, więc tem donioślejszego nabiera znaczenia. Strona praktyczna, obiecująca szybką działalność, polega na tem, że za parę miesięcy, tj. w zimie, będzie zwołana do Petersburga komisya specyalna, celem wszechstronnego rozważenia obecnych braków szkoły średniej, a następnie — niezwłocznego przystąpienia do reform, zgodnie z planem opracowanym. „Śród pedagogów i rodziców młodzieży, uczęszczającej do gimnazyów i szkół realnych — czytamy w odezwie ministeryalnej — oddawna dawały się już słyszeć skargi na różne braki tych zakładów naukowych. Wskazywano np. odsunięcie się od rodziny tudzież cechę biurokratyczną szkoły średniej, wnoszącą suchą formalistykę i martwotę do życiowej działalności pedagogicznej, skutkiem czego między młodzieżą szkolną a nauczycielami wytwarzał się stosunek fałszywy: nieliczenie się z indywidualnemi właściwościami charakteru uczniów, lekceważenie wychowania fizycznego i umoralniającego, niepożądana specyalizacya szkoły od klas najniższych, skazująca dzieci na pewien z góry określony rodzaj zajęć, bez uprzedniego zbadania skłonności i uzdolnień osobistych.“

Z innych zarzutów okólnik zaznacza przeciążenie uczniów codzienną pracą umysłową, szczególnie w klasach niższych, nieprzystosowanie programów do czasu rozporządzalnego, poświęconego nauce, obarczenie wymaganiami drugorzędnemi, a nawet zbytecznemi itd. Nadmierna obfitość języków starożytnych, błędna metoda ich nauczania, niezgodna z celem wychowania klasycznego, pomimo znacznej liczby godzin, poświęconych językom starożytnym, niedostateczna dojrzałość umysłowa młodzieży, kończącej kurs gimnazyalny, co wytwarza hamulec w studyach uniwersyteckich, słabe przygotowanie młodzieży, kończącej kurs szkół realnych, celem specyalizowania się w wyższych zakładach naukowych, wreszcie wogóle niedostateczna organizacya nauczania w tych zakładach naukowych — to wszystko również zarzuty bardzo ciężkie, na które kładzie nacisk okólnik ministeryalny. Podkreśla także to wszystko, „co pozbawia szkołę znamion żywotnych i narodowych,“ a więc niedostateczną naukę języka rosyjskiego, historyi i literatury rosyjskiej, wreszcie powierzchowne zaznajamianie młodzieży z otaczającą przyrodą.

Okólnik zaleca kuratorom wybranie dwu do czterech osób z każdego okręgu, najdo-

---

— Nie da mię ojciec, nie da mię matusia! — odparła zuchowato.

— Jesteś głupia dziewczyna i szkodna, a zła córka — burknął gniewny rządca.

Nareszcie odeszły.

I oto znikęły wraz z niemi dobry humor i zadowolenie młodzieńca. Przez długą chwilę chodził niespokojnie po pokoju, trącając nogami sprzęty, to zapalając, to ciskając niedopalony papieros przez okno.

— Żeby to wszyscy dyabli wzięli! Ten wytworny troglodyta za wszelką cenę ucieka przed zetknięciem się z potem, istotną potrzebą i ciemnotą, a ja muszę być parawanem lub piorunochronem dla niego.

II.

Rządca spał. Spał snem młodego i zdrowego organizmu, spał ze świadomością tygodniowego wypoczynku w dzień świąteczny, spał za te godziny niedospane przez dni sześć i urywane bądź dla książki, bądź dla pogadanki, bądź też dla zadumy samotnej.

Ale machina gospodarcza nie ustawała i w święto, lubo wolna od drgań konwulsyjnych, nadmiernych wysiłków i przeróżnych zgrzytów.

W godzinę po wschodzie słońca zeszła się szara gromada na okólnik gospodarczy i spełniała czynności codzienne. Jedni czyścili i poili konie, drudzy zadawali karm bydłu, zostającemu w oborach, a inni ociężało wyruszali z wołami i owcami na pastwisko.

Poczem rozchodzili się pojedynczo, aby się ogarnąć na dzień świąteczny i w poważnej nadziei przeciągać spracowane grzbiety i ramiona aż do samego wieczora.

Nie widziałeś nigdzie ni radości, ni żywszych poruszeń.

Karbowy, w nowych butach i dostatniej sukmanie, ciężkimi krokami wszedł do pokoju rządcy

— Niech będzie pochwalony!

Postawił kawę, zabrał wzgardzony dziś kostium gospodarczy, gniewnie głową pokiwał na widok zabłoconych butów i wyszeplenił przez usta bezzębne:

— Szafarka tańczy koło progu, żyd od godziny liczy pieniądze.

— Cóż jeszcze?

— Forszman przed ludźmi wydziwia i pomstuje...

— Mniejsza o to. Możesz pójść do kościoła, a potem zajdź do Adamskiego na miód, co ci dobrze zrobi na stare kości.

Umilkł starzec, biorąc w garść podaną czterdziestówkę, poczem dobył parę kamaszy o połysku lustrzanym i postawił ją na miejscu widocznem.

W kancelaryi rzeczywiście stał już czas jakiś wątły i niski pachciarz i układał kupki srebrnej i miedzianej monety na stole.

Już skończył. Jeszcze ręce mu drżały, a oczy przysłaniała lekka mgła żalu cichego po tylu wyłożonych skarbach, gdy wszedł rządca.

Jednem spojrzeniem objął starannie ułożone kupki monety, drugiem zaś sięgnął do książki rachunkowej, poczem krótko rzucił:

— Czy wszystko? Ile razem?

— Akuratnie co do grosza, wielmożny panie, osiemdziesiąt trzy ruble i 60 kopiejek za te troszkie mlika, co ja przez niego tracę zdrowie i mam duży kłopot.

— W przyszłym roku będziemy mieli dwadzieścia krów więcej.

— Bardzo dziękuję panu, to ja już chyba całkiem siły stracę: owszem niech ja mam to mliko, ale w żymie.

— Po lecie i jesieni przychodzi zima — odparł rządca i otworzywszy szufladę stolika, jął zgarniać do niej kupki pieniędzy, nie licząc.

Z piersi Żyda wybiegło ciche westchnienie, a żal, teraz jeszcze głębszy, poruszał jego wązkiemi wargami.

Gdyby był wiedział, że tak dziś pójdzie rachunek.

— Czy widziałeś wczoraj baby, biorące mieszankę?

— Ja byłem trochę w chacie i zlewałem serwatkę; te krowy to dają samą serwatkę!

— Więc nic nie widziałeś?

— Jakto nie widziałem? Przecie one, te baby, musiały iść koło mojej chaty, a mój syn Lejbuś to akurat siedział w te porę

świadczeńszych, najbardziej wykształconych i uzdolnionych nauczycieli i kierowników szkół średnich, zarówno w zakresie klasycznym, jak i realnym. Wejdą oni w skład komisyi jako rzeczniey wymagań szkół tudzież różnych prądów pedagogicznych.

Dla ułatwienia prac przygotowawczych okólnik podaje bardzo wyczerpujące wskazówki. Mianowicie zadaniem komisyi będzie: Zbadać wszechstronnie obecny ustrój szkół średnich, celem wskazania braków tudzież środków ich usunięcia w taki sposób, ażeby nie były naruszone podstawy gimnazyum klasycznego i szkoły realnej. W razie gdyby wypłynął na porządek dzienny projekt przekształcenia obu typów szkolnictwa lub też stworzenia typu zupełnie nowego — wniosek taki powinien być dopuszczony do rozpraw, niezależnie jednak od punktu poprzedniego. Postanowienia komisyi muszą być sformułowane jako wnioski ogólne, dokładnie uzasadnione. Nie mogą one być oparte wyłącznie na wywodach oderwanych, lecz przeciwnie — na spostrzeżeniach pedagogów wykształconych, posiadających doświadczenie życiowe w swym zakresie. Do zmian obecnej organizacyi szkolnej należy dążyć stopniowo i ostrożnie, „ponieważ sprawa wychowania nie znosi nagłych przewrotów.“ O tem właśnie komisya powinna pamiętać. Nadto musi ona wziąć pod uwagę, że obecne warunki życia ludności wymagają koniecznie powiększenia liczby szkół zawodowych wszelkiego rodzaju, któreby przygotowywały wychowańców swoich do bezpośredniej działalności praktycznej. Stopniowe udoskonalenie szkół realnych i klasycznych tudzież wykształcenia fachowego dadzą młodzieży szkolnej możność trafnego wybierania wyższych zakładów specyalnych, zgodnie z zamiłowaniem, przygotowaniem tudzież warunkami życia. Tym sposobem wytworzy się naturalny kierunek dla młodych sił, które dziś nie posiadają innego wyjścia lub mają odpływ utrudniony. Młodzież zapędzana jest sztucznie do szkół ogólnie kształcących tudzież wyższych, wbrew swoim skłonnościom.

Z innych zagadnień komisya powinna zwrócić szczególną uwagę na sprawę fizycznego wychowania młodzieży. Na to okólnik ministeryalny kładzie szczególny nacisk i podaje następujące wskazówki: Komisya ma zbadać, jakie środki należy przedsiębrać w tym zakresie, zwłaszcza zaś, w jaki sposób można opracować plan zajęć, któryby pozwalały uczniom między lekcyami, stosownie do wieku, oddawać się grom i ćwiczeniom fizycznym. Na większą jeszcze uwagę zasługuje sprawa wychowania moralnego w najszerszem znaczeniu. „Chociaż w tym względzie szkoła najbardziej jest zależna od moralnego poziomu rodziny i społeczeństwa, mimo to jednak powinna uczynić ze swej strony wszystko, ażeby w wychowańcach rozwijać wolę, kierować zasadami religijnemi i moralnemi. Dlatego więc komisya powinna zbadać, jakie środki mogłyby sprzyjać rozwojowi śród wychowańców szczerego uczucia religijnego, szczerego przywiązania i poświęcenia dla swego Monarchy i ojczyzny, poczucia obowiązku, honoru, prawdy, szacunku dla powag itd. Trzeba przytem mieć na uwadze nie sam system zaleceń formalnych, ale także i zarządzenia przenikające całe codzienne życie szkolne.“

Po raz pierwszy od lat wielu sprawę szkolną postawiono na gruncie tak rozległym. Po raz pierwszy w drodze urzędowej scharakteryzowano w ten sposób jej braki i wady. To też nic dziwnego, że okólnik ministeryalny poruszył umysły społeczeństwa oświeconego i wywołał ożywione rozprawy w prasie. *Nowoje Wremia* wzięło pod uwagę jedną z kwestyj zasadniczych— obecny stan uzdolnienia nauczycieli i przygotowania pedagogów: „Kwestya uzdolnienia nauczycieli, to cała kwestya szkolna, gdyż w rzeczywistości nauczyciel — to szkoła; ta zaś nie jest murowaną kamienicą z ozdobnym znakiem, na którym wypisano ładnemi literami: „gimnazyum,“ „szkoła realna,“ „szkoła miejska“ itd. Niestety, cała reforma hr. Tolstoja rozbiła się o uzdolnienia nauczycieli... Trzej organizatorowie nowej szkoły (hr. Tołstoj, Katkow i Leontjew) nie zastanowili się nad pytaniem: z kim właściwie mamy dokonać reformy?“ Oczywiście łatwo na to pytanie odpowiedzieć: „ze zdolnymi nauczycielami,“ ale trudno znaleźć takich ludzi. Dopomina się o nich nietylko *Now. Wr.*, nietylko cała prasa, lecz i społeczeństwo.

Peterb. Wied. wystąpiły z poważną krytyką systemu obecnego. Szkoła współczesna, jak słusznie utrzymuje ten organ, zniechęca młodzież do nauki, osłabia energię i wolę, wytwarza ospałość fizyczną i moralną. Bardziej rozwinięto jednostki zaspakajają swoją ciekawość, czytając po za szkołą; rozumieją bowiem dobrze, iż tylko w ten sposób mogą zdobyć niezbędne w życiu wiadomości. Czytanie takie po za murami szkolnymi, zdaniem powyższego organu, bez odpowiedniego kierownictwa i nadzoru, wyrządza tylko szkodę owej młodzieży. Rzuca się ona bowiem chciwie na beletrystykę pornograficzną i zatruwa nią swoje dusze, albo też czyta dzieła poważne, nieodpowiednie dla wieku, które wytwarzają tylko skłonność do frazesów, posługiwania się cudzem zdaniem, bez znajomości rzeczy i wyrobienia sądu samodzielnego.

Otóż autor radzi przedewszystkiem ożywić szkołę średnią za pomocą bardziej interesujących przedmiotów. Należy wyrzucić z kursu nauk szkolnych balast niepotrzebny i tym sposobem ułatwić uczniom ukończenie gimnazyum. Wydalanie ucznia ze szkoły za zły stopień z jednego przedmiotu, to nietylko omyłka pedagogiczna, lecz i krzywda straszna dla społeczeństwa. I bez tego środka przecież są tysiące młodzieńców, pozbawionych możności dalszego kształcenia się skutkiem stosowania gotowych formułek i suchych cyfr. „Trzeba wyrabiać wzajemne zaufanie pomiędzy nauczycielami a uczniami“ (środek zalecany od dawien dawna). Dla ułatwienia i ożywienia programu nauk pismo zaleca następujące środki: 1) Wyrzucić to wszystko, co bez żadnej potrzeby obciąża pamięć i umysł ucznia, a więc mnóstwo zbytecznych nazwisk i faktów, które nie przemawiają ani do umysłu, ani do serca wychowańców; 2) znieść wykład języków starożytnych w klasach niższych; 3) zaprowadzić we wszystkich klasach krótki wykład hygieny, nauki moralności i prawoznawstwa tudzież literatury współczesnej. Czy można bowiem nazwać wykształconym człowieka, niemającego pojęcia o elementarnych warunkach zdrowotności, o znaczeniu pracy, silnej woli itd.?

O stopniach i podręcznikach szkolnych autor artykułu w *Peterb. Wied.* czyni następujące uwagi: „W dziennikach czytamy artykuły o konieczności zniesienia stopni podczas kwartału. Przypuszczam, że taka reforma przyniosłaby więcej szkody, niż korzyści, a przynajmniej dałaby powód do nieporozumień wszelakich. Obecnie w razie krzyczącej niesprawiedliwości ze strony nauczyciela rodzice ucznia mają prawo

---

na progu i trochę czytał — on już potrzebuje dobrze czytać...

— Zjadłeś sto dyabłów, krętaczu! Widziałeś, czy nie?

— Jaśnie pan przysłał po mnie i powiedział, co ja musiałem widzieć te baby, no to ja widziałem — odparł pachciarz, podrygując, niby w tańcu.

— Możesz odejść — rzekł młodzian po chwili namysłu.

— Chciałem też prosić wielmożnego pana, zieby mój kuń przestał bycz krowa, a zrobił się kuń, jak się należy. Niech on dostanie troszki owies, a nie samą trawę, z której on nie ma żadnej szyły.

To mówiąc, szperał po kieszeniach, a wreszcie podał karteczkę dziedzica, polecającą na przyszłość wydawanie owsa dla konia pachciarskiego.

— Mogłeś mi to pokazać odrazu, a nie bzdurzyć bez potrzeby — odrzekł rządca, szybko kreśląc na papierze kwit do pisarza.

Po tej rozmowie z pachciarzem uczuł jakiś niesmak wyraźny, więc nie dziw, że niechętnie powitał w swych progach doletnią dziewicę, pełniącą obowiązki szafarki.

— Czego sobie życzy panna Katarzyna?

Dziewica, szczelnie otulona przed natrętnem spojrzeniem kawalera w trzy piętra chustek różnej miary i koloru, dzwoniła z przekąsem:

— Pana rządcę to zawsze tylko żarty się trzymają!

— Tylko nie dziś i nie teraz, bom zły, jak szatan.

Dziewica wzdrygnęła się ze zgrozy i cofnęła krok w tył.

— Co mi tam! A to trzeba mąki do śpiżarni!

— Jakto! już mąki? A przecież dopiero przed tygodniem przywieźli 10 korcy z wiatraka i ta ilość, podług ścisłego rachunku, powinna wystarczyć na pięć tygodni.

— Ja przecie nie kradnę; co ma starczyć — starczy, a nie potrzebuje tu nikt mię tego uczyć! — wrzeszczała.

— Żegnam tedy pannę Katarzynę.

— Nie przyszłam tu przecie na romanse do pana, więc nie potrzebuję się żegnać, ani witać z nikim...

— Więc?

— Od jutra trzeba czeladzi dawać trzy razy młode kartofle.

— Dobrze.

— Dla indycząt i kaczek potrzebna jest ospa...

— Przyślę; czy to już wszystko?

— Pan rządca to nigdy po ludzku z człowiekiem nie pogada.

— Owszem, proszę usiąść i mówić—słucham.

Dziewica wytrzeszczyła przerażone oczy.

— A tak, żeby mię cały dwór wnet oszczekał, jak tę sukę burą!

Młodzian powstał, ażeby przejść do właściwego pokoju.

— Proszę pana rządcy o konie do kościoła — zapiszczała łagodniej.

— Na wyraźne życzenie dziedzica koni roboczych nie daje się nikomu, chyba do doktora lub po niego.

— Tylem sobie zasłużyła w tym dworze! — jęknęła, niemal szlochając.

— Dałbym cugowe dla mnie przeznaczono, lecz jednym z nich pisarz pojechał.

— Ten dziad mi zawsze usłuży!

— Co pisarz dostaje na śniadanie i do herbaty?

— Bułkę pytlowego chleba, ser i masło; ale ten obrzydliwiec je razowy chleb, którego się nie wydziela, a wozi prezenty córce, czy tam komuś, co, proszę pana, nie powinno się pozwalać.

— A cóż to komu przeszkadza? — spytał młodzian stro.

— Mnie tam nic, ale dziedzic gada, że przez tę oszczędność dziad ma mniej sił i częściej drzemie w spichrzu.

Rządca w tej chwili palnął pięścią w poręcz fotelu, aż zatrzeszczała, i skoczył do swojego pokoju.

Panna Katarzyna wyszła z kancelaryi ze stanowczem przekonaniem, iż cała uszła sideł dybiącego na nią szatana.

(*C. d. n.*)

apelacyi do władzy wyższej. Ale co poczną wdwczas, gdy niesumienny nauczyciel będzie miał prawo stawiać stopnie bez żadnej kontroli, tylko według własnego widzimisię?"

Co do podręczników, posiadają one następujące wady: Wielosłowność i zły styl większej części książek szkolnych, obfitość szczegółów drugorzędnych, wcale niepotrzebnych, skutkiem czego cena książek wzrasta znacznie, a pamięć ucznia obarcza się nadmiernie, wielu bowiem nauczycieli trzyma się ściśle tekstu podręcznika. Następnie książki odznaczają się dążnością do określania ściśle naukowego pojęć nawet w niższych klasach, co wytwarza niezrozumiałość przedmiotu dla umysłów młodocianych. Częsta zmiana podręczników obciąża całkiem niepotrzebnie budżety rodzin. Zdarza się niejednokrotnie, iż troje dzieci z jednej rodziny, przechodząc kurs szkolny, musi trzy razy kupować ten sam podręcznik, gdyż starszy chłopiec korzystał z wydania 53-go, młodszy z 55-go, najmłodszy zaś z 56-go. W większych rodzinach można znaleźć całe stosy książek szkolnych, wyszłych z użycia, zdatnych jedynie do podpalenia w piecu. Ze szkodą tedy rodziców ciągną zyski autorowie i wydawcy.

Co do organizacyi reformy, dały się słyszeć różne głosy doradcze. Między innemi *Russkija Wied.* bardzo słusznie zalecają powołanie do udziału w komisyi nietylko dyrektorów i nauczycieli szkół średnich, lecz także profesorów uniwersytetów i wyższych instytutów technicznych, hygienistów, tudzież lekarzy znanych w literaturze pedagogicznej, wreszcie przedstawicieli instytucyj publicznych i niektórych stanowych. Na sposób powoływania przedstawicieli różnych kierunków pedagogicznych do udziału w pracach komisyi *Russk. Wied.* zapatrują się krytycznie: „Pozostawienie wyboru takich ludzi kuratorom, jako stojącym niezbyt blizko personelu nauczycielskiego i niedostatecznie obeznanym z przymiotami jego członków, nie doprowadzi do wyników pożądanych. Lepiej byłoby pozostawić ten wybór samym nauczycielom, którzy w tym celu tudzież dla wymiany myśli o potrzebach szkół powinni być zwoływani na narady osobne."

Paweł Krzyżanowski.

Z NIEMIEC.

Berlin, 2 października.

Technologia szturmująca do twierdzy tytułów. — Handel tytułami doktorskimi. - Zjazd hygieny społecznej.

Uniwersytety i politechniki niemieckie wzięły się za czuby. Zakość niezgody posłużyła tym razem kwestya: czy technik, inżenier, budowniczy, chemik i inni przedstawiciele prozaiczno-praktycznych zawodów mają prawo roztaczać przed światem pawi ogon uczoności, upstrzony tęczowymi kolorami doktorskiego tytułu. Obecny spór jest właściwie epizodem walki, toczonej od lat kilku. Cuda dokonane przez technologię nowoczesną, jej decydujący wpływ na rozwój przemysłu i handlu zaimponowały ogółowi i zaskarbiły jej jego sympatyę. Opinia publiczna, popierana przez fizyków i matematyków, żądała wcielenia technologii do programu wykładów uniwersyteckich, tem bardziej, iż obecny stan fizyki i mechaniki jest w nierozerwalnym związku z owemi zdobyczami. Jedni projektowali otworzenie nowego fakultetu, drudzy wprowadzenie tylko odnośnych wykładów, inni znowu założenia laboratoryów technologicznych, sal demonstracyjnych itp. Przedpotopowi filologowie, zmurszali prawnicy i medycy rozdziawiali usta, tusząc sobie jednak, iż szturm wkrótce minie. Klęska tymczasem wzrosła. Cesarz, jakby naprzekór humanistom, obdarzył rektorów politechnik tytułem członków pruskiej Izby panów, gdzie będą slodko drzemali w swych miękkich fotelach, potakując we śnie głową, gdy baron Sztum będzie wymyślał na żarłoczność podłego gminu. Przybytki technologii, zachęcone tryumfem, postąpiły w swych żądaniach o krok naprzód. Inżenier lub budowniczy, gdy chciał przyozdobić swą pozycyę życiową tytułem doktorskim, musiał „obkuwać" Arystotelesa, Spinozę i Kanta. Otóż tego patronatu filozofów chcieli się pozbyć technologowie, zwłaszcza że metafizyka i teorya poznania są dziesiątą wodą po kisielu względem mechaniki. Zaperzeni i podrażnieni w najświętszych uczuciach filozofowie kruszą kopie w obronie swych praw, zapominając jednak, iż przed stu laty sami musieli dobijać się tych samych przywilejów, których odmawiają dziś technologom, a genialny Kant, rozśmieszony wówczas argumentami szermierzy tradycyi, napisał zgryźliwy traktat „O sporze fakultetów," za który dostała mu się nagana pruskiego ministra oświaty. „Filozofia — pisał mędrzec królewiecki—jest służebnicą innych nauk, ale nie tą, która niesie za nimi ich ogon, lecz tą, która oświeca im drogę swą pochodnią." W Niemczech, gdzie każdy śmiertelnik, zaczynając od kominiarza i kończąc na ministrze, musi posiadać jakikolwiek tytuł, doktorat daje ujście instynktom próżności i miłości własnej. Z tej też racyi technolodzy, ludzie, zdawałoby się, trzeźwi i niedrobiazgowi zatęsknili za aureolą dostojeństwa naukowego. Po za tem tytuł doktorski stracił wszelką podstawę i sens. Nikt bowiem nie bierze na seryo przysięgi doktora obojga praw, iż będzie bezinteresownie bronił wdów i sierot; takich mecenasów należy szukać, jeśli nie na księżycu, to na ziemi z latarką w ręku. Nikt również nie przyjmie za dobrą monetę uroczystego ślubu, składanego przez medyków przy farsie, której w Niemczech na imię „promocya doktorska," iż będą trudnili się zawodem lekarskim bez względu na własną korzyść, podobnie jak szopką jest obietnica filozofa służenia za wzór bezinteresowności i skromności. Że tytuł doktorski nie jest dowodem wiedzy, nikt temu nie zaprzeczy. Jeden z cezarów rzymskich mianował konia swego senatorem, wszechnice obdarzają niejednego osła tytułem doktorskim, zwłaszcza jeśli jest obwieszony workami złota. Nie trzeba bowiem przeoczać drobnostki, iż fakultety każą sobie sowicie opłacać swe nominacye. Nie chcemy bynajmniej posądzać filozofów o to, iż ich zajadłość i upór wypływają z obawy stracenia źródła dochodów. Istnieje jednak na północy Niemiec uniwersytet, który utrzymuje się po części z hojnych i pobłażliwych nominacyj doktorskich, podobnie jak jedno z trzeciorzędnych książątek obecnie, osadzone w zakładzie leczniczym dla chorych nerwowych, przez długi czas prowadziło handel tworząc baronów i w tym celu utrzymywało agentów i komiwojażerów.

W zeszłym miesiącu obradował w Norymberdze zjazd dla hygieny społecznej. Obrady i uchwały dotyczą kwestyj ważnych i budzą zainteresowanie, zwłaszcza z powodu wyrażonych skarg na brak elementarnych wiadomości hygienicznych wśród ogółu. Jeśli sprzedawcy nabiału, pieczywa i mięsa lekceważą jego zdrowie w sposób karygodny, to przedewszystkiem winni temu sami spożywcy. Uczestnicy zjazdu podkreślili, iż wykład hygieny musi być obowiązkowym w szkołach, przedewsztkiem zaś kobiety muszą zapoznać się z jej podstawami. Sprawozdawcy na podstawie rozgałęzionych doświadczeń i badań orzekli, iż wszelkie produkty spożywcze pozostawiają wiele do życzenia. Niemcy podobno mają za przykładem Anglii wprowadzić u siebie urzędy specyalnych dozorców zdrowotnych, czuwających nad bezpieczeństwem publicznem w dziedzinie hygienicznej.

Gorąco sprzeczano się co do roli lekarzy w szkole. W roku bieżącym szereg magistratów powołał ich do dozorowania szkół. Nauczyciele podnieśli krzyk, piorunując przeciwko dyktaturze medyków. Zjazd uspokoił te obawy, wyznaczając lekarzowi głos doradczy. Ma on sprawdzać ze stanowiska hygienicznego warunki budowlane w szkołach danej miejscowości, poddawać kontroli wykład i naukę, które aż zbyt często obciążają dziatwę, zapobiegać szerzeniu się chorób zakaźnych, stwierdzać dolegliwości i braki fizyczne wychowańców, aby wymagania szkoły mogły być złagodzone względem chorych uczniów, wreszcie udoskonalać i rozwijać wykład gimnastyki, gry, wioślarstwo itd. Najburzliwiej sprzeczano się co do wpływu dymu fabrycznego na płuca mieszkańców. Wszyscy przystali na to, iż fabrykanci troszczą się o zdrowie współobywateli tyle, co o dobrobyt mieszkańców Marsa. Państwo zatem i władza miejscowa będą zniewolone zmusić właścicieli zakładów, aby system palenia przystosowali do warunków lokalnych; okazało się bowiem, iż dzięki specyalnym urządzeniom łatwo osiągnąć zupełnie zadawalające rezultaty. Nie myśląc krępować przemysłu, władza musi posiadać rękojmię, iż fabryka swym dymem nie będzie zanieczyszczała powietrza. Wielkie miasta wskutek tej obojętności stały się ogniskiem tysiącznych chorób i wylęgarnią osobników chuderlawych i kalek. Uchwały te posiadają tak doniosłe znaczenie, iż echo ich musi odbić się we wszystkich krajach, gdzie rozwój przemysłu sprowadza te same fatalne skutki dla zdrowotności ogółu.

H. F.

PIERWSZY KONGRES SOCYOLOGÓW WŁOSKICH.

Za kilka tygodni zbierze się w Genui pierwszy kongres pracowników we włoskiej winnicy socyologii. Przy uniwersytecie tego miasta istnieje od lat kilku „Kółko studyów społecznych" *(Circolo di studi sociali di Genova)*, składające się z profesorów i studentów. Kółko to od lat kilku wstąpiło na drogę niezmiernie ruchliwej działalności. Zaprosiło na swoich członków-korespondentów całą gromadę „socyologów" europejskich i amerykańskich i zaczęło wydawać czasopismo specyalne p. t. *Scienza Sociale.* Wpływ rosnąć począł znakomicie. Włosi w zakresie nauk humanistycznych mają specyalne przywiązanie do tematów i zagadnień, które umiejętnemu badaniu poddają się bardzo trudno, ale natomiast pozwalają wypisywać tomy całe lekkich, rozwodnionych frazeologią aforyzmów. To też może nigdzie produkcya literacka w zakresie socyologii nie była w przeciągu całego ostatniego trzydziestolecia i nie jest tak silną i tak wielką, jak pod niebem italskiem. Możnaby parę numerów *Prawdy* zapełnić nazwiskami uczniów, wnuków i prawnuków Comte'a, którzy mniej więcej od roku 1870 aż do chwili obecnej starali się bądź w całości, bądź też częściowo, monograficznie rozwiązać zagadki, które kryje w swem łonie „społeczeństwo ludzkie." Trzy części, jeśli nie więcej, tej całej, bezbrzeżnej literatury już oddawna spoczywają w lamusie poronionych pomysłów, lekkomyślnych uroszczeń, zarozumiałych nieuków i ogólno-narodowej blagi. Lada żółtodziób, umiejący zaledwie przy pomocy „oślego mostu" tłomaczyć Wergila, przeczytał we francuskim przekładzie kilka stronic Spencera i uznał za stosowne opowiedzieć swym kolegom, że wielki filozof angielski jest albo

bardzo mądrym, albo bardzo głupim (zależy to od temperamentu, wogóle od indywidualnych warunków). Jeżeli tylko młodzieniec umie pisać z zacięciem, odważnie— znajdzie na pewno miesięcznik śród jednej i drugiej setki efemerycznych czasopism włoskich, który zamieści jego wypracowanie Powodzenie obowiązuje w danym razie nie do milczenia, jeno do coraz częstszego rozwijania pawiego ogona. W taki sposób powstają broszury i książki. Znamy uczonych, którzy z zasady nie biorą do ręki włoskiej pracy socyologicznej. Oczywiście uogólnienie takie jest niesłuszne Zawszeć i Jan Baptysta Vico, „Jan-Chrzciciel“ socyologii był Włochem, a i współczesna epoka może wskazać niejedno nazwisko włoskie, świecące na firmamencie tej nauki. Jest tam Achilles, Loria (Padwa). jest Icilio Vanni (Rzym), jest Ferri i Salvioli (Palermo), a śród młodego pokolenia widzimy takie pierwszorzędne siły, jak Ferrero, Vaccaro itd.

Ruch na polu socyologii we Włoszech ma swoje odrębne cechy. Wre tam wszystko i kipi. Corocznie powstają nowe czasopisma i giną, niby motyle. Obrotny dziennikarz-socyolog rzymski, Fiamingo, już po raz wtóry wydaje „Przegląd socyologiczny włoski,“ a prócz tego — jednocześnie — wychodzi „Umiejętność społeczna“ w Genui, miesięcznik *Rivista scientifica del diritto* pod redakcyą Michała Anioła Vaccasso w Rzymie, wreszcie *Rivista della storia a filosofia del diritto* Salvioli ego Nie mówimy już o długiej litanii czasopism bardziej ogólnych, wprost z nauką społeczną w tytule związanych, albo ją mniej lub więcej w treści swej uwzględniających. Po za tem pełno jest prac włoskich uczonych w paryskim miesięczniku socyologicznym Rénc Wormsa i w amerykańskich socyologicznych przeglądach i rocznikach. To wielkie uruchomienie uczonych w jednej dziedzinie wiedzy ludzkiej pracujących, rozrzuconych na całej długości półwyspu Apenińskiego od Medyolanu aż do Katanii, z natury rzeczy doprowadzić musi do zrzeszenia się w jedną organizacyę stałą. Jest to prawo ogólne. Nic dziwnego tedy, że myślą Włosi o stworzeniu „Towarzystwa socyologów włoskich,“ na wzór krzykliwego, aczkolwiek mało pożytku przynoszącego paryskiego „Instytutu socyologicznego.“ Ten rozpoczął swoje bytowanie od kongresu. „Zwołajmy tedy i my kongres“ — rzekli Włosi. I oto wydrukowano kilka tysięcy prospektów, rzucono w świat, a jeden przywędrował aż na płaszczyznę mazowiecką.

Jakiż jest program kongresu? Zbierze się on w Genui w ostatnich dniach października r. b. (23—26). Podajemy tytuły zapowiedzianych referatów: „O potrzebie stworzenia Towarzystwa socyologów włoskich“ (Societe Italiana di Scienza Sociali) i „O nauczaniu socyologii“ mówić będzie prof. Cosentini. „O stosunku wzajemnym socyologii i filozofii“ opowie A. Groppali. „Reformę wychowania“ obrał sobie za temat referatu stary ekonomista Dominicis. „O feminizmie“ mówić będzie Sighele i Paulina Schiff, „O dziennikarstwie, jego funkcyi w społeczeństwie spółczesnem i gwarancyach jego użyteczności“— znany statystyk włoski, Virgilii, który również rozprawi się z zagadnieniem „Rolnictwa i kwestyi społecznej.“ Następnie Vadala-Sapale obiecał referat: „Socyologia a filozofia prawa,“ Salvioli: „Średniowieczna historya ekonomiczna,“ Miceli: „Zwyczaje prawne ze stanowiska socyologii,“ Garofalo: „Indywidualizm,“ Fiamingo: „Ewolucya katolicyzmu,“ de Bella: „Militaryzm i kapłaństwo w socyologii,“ Marro: „Funkcya społeczna dojrzałości płciowej“ (!). Prócz wyliczonych tutaj tematów dyskusya ma ogarnąć jeszcze następujące: ideały pokoju, antropologia kryminalna, rozwój kolonij zamorskich, ubezpieczenia społeczne, organizacya handlu, rozwój ekonomiczny Chin, społeczeństwo pierwotne, społeczeństwo zwierzęce, społeczeństwo dzikie, czynniki etniczne a społeczeństwo, etyologia i profilaktyka społeczna gruźlicy, o państwie, o prawie międzynarodowem, sztuki piękne a socyologia, narodowość, socyologia amerykańska...

Bogactwo barw wielkie, zupełnie jak w ogrodzie podzwrotnikowym. Bezsprzecznie wiele wpływa na tę różnorodność tytułów i gadulstwo włoskie i ów szeroki giest południowca. Ale nie tu koniec jeszcze. Są przyczyny bardziej głębokie i bardziej stałe. Jest to *fatum* nieszczęsne socyologii współczesnej, że zakres jej studyów i zagadnień jest nieskończony. Społeczeństwo ludzkie jest istnością tak złożoną, rozszczepia się na tak liczne tysiące włókienek pojęciowych, z których każde może stanowić przedmiot badania t. zw. socyologicznego, że tymczasowo o jakiemś usystematyzowaniu pracy, o ujęciu rozlicznych okruchów teoretycznego roztrząsania mowy być nie może. Dziś pod tym względem panuje chaos, nietylko w tem znaczeniu, że „wszystko“ może być przedmiotem socyologicznego pojmowania, ale i w tem, że „każdy“ może być (a co najmniej udawać!) socyologa. Przypuszczamy, że najbezczelniejszemu nawet hypnotyzerowi nie przyjdzie na myśl twierdzić, że jest — jakkolwiek władca dusz — psychologiem i że doświadczenia jego są przyczynkami do budowy naukowej tego przedmiotu. I odwrotnie, nie znajdzie się chyba dusza tak tkliwa, któraby takiego współczesnego „władcę dusz“ w szeregi uczonych przyjęła *). Tymczasem kto chce i ma odwagę, staje się socyologiem, albowiem jest autorem takiego i tylu przyczynków.

Rozprawy, już kilkakrotnie powtórzone, „Instytutu międzynarodowego socyologicznego“ w Paryżu dały obraz rzetelny, plastyczny, nad wszelki wyraz tragikomiczny takiego stanu rzeczy. Każdy gryzipiórek lub zawodowiec, któremu do głowy strzeliła myśl uderzająca sprawę społeczną leciutkiem skrzydłem niewiadomości, uważa się za uprawnionego do wygłaszania rozpraw, do polemizowania, do staczania formalnych bitew. Nie mów takiemu zapaśnikowi, że jest niedouczony, nie wołaj do niego słowem Horacego: *ne sutor ultra crepidam!* — nic nie pomoże! Parawan przedmiotowości i osobistych przekonań jest dość obszerny, aby zakryć każde najpotworniejsze głupstwo, najbezczelniejszą blagę. „Wszak niema *socyologii*, są tylko *socyologowie*“ — odeprze.

Doskonałem odbiciem tych rozpraw jest wydawany od lat kilku „Przegląd socyologiczny“ pod redakcyą jednego z najsprytniejszych bezsprzecznie blagierów, Réne Wormsa. W jednym z pierwszych roczników spotkaliśmy tam np. wspomnienia jakiegoś agenta tajnego policyi — redaktorowie widzieli w nich prawdopodobnie cenny materyał do poznania społeczeństwa współczesnego, cel rozumie się jasny i możliwy, ale cóż to ma wspólnego z socyologią, jako umiejętnością? Tak, niema socyologii, są tylko socyologowie.

Nasz czytelnik, którego wyliczone wyżej tytuły obchodzą tylko niezmiernie słabo, nie pojedzie do Genui — i nie namawiam go wcale do tej podróży. Przyrzekam jednak, że o ile rozprawy zawierać będą cokolwiek ciekawego, o ile czcza gadanina pozostawi jakikolwiek osad szlachetniejszego kruszcu zdrowej myśli, albo nawet i uczciwego uczucia — nie omieszkam zapoznać z ich treścią na tem miejscu czytelników *Prawdy*.

*) Jakkolwiek z prac jego korzystała!

S. Posner.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Z kawalerskiej jazdy.

W światku pseudonymów, kryptonymów, bezimienności i autorskiej maskarady, słowem w *Kuryerze warszawskim* wynurzył się niejaki p. Maryusz, który zatarłszy dobre, a odnowiwszy złe tradycye tego pisma, urządza sobie co tydzień fejlotonowo kawalerską jazdę w nienumerowanej dorożce na gumowych kołach dla obryzgania przechodniów, spotkanych po drodze. Że temu panu nie podobały się nasze uwagi o odsłonięciu pomnika Słowackiego w parku miłosławskim — to nas nie dziwi i nie smuci; że nawet dla określenia naszej postawy sięgnął po porównanie aż do karczmy i psiej budy, twierdząc, jakobyśmy p. Kościelskiego „targali za brodę i kąsali *za* łydki“ — to mu także przebaczamy, gdyż może ulega silniejszym, niż poczucie przyzwoitości, nawyknieniom, które odpowiednio zabarwiają i perfumują jego styl; ale że nam z wysokiej mównicy dał lekcyę „taktu,“ to wydaje nam się nieco za zuchwałem i wymaga małej odprawy.

Takt, jakt gust, bywa w różnych gatunkach. Nasz nie jest wytworem ani drażliwego węchu na woń smacznej pieczeni, ani układnością sklepową, ani uniżonością lokajską wobec panów, lecz wypływa z przekonań i zasad. Prowadzimy bardzo ścisłe rachunki z ludzi oraz ich czynów i według tego układamy nasze do nich stosunki, których nie zmienia pełny kielich przy sutej uczcie, wysokie stanowisko, szeroki rozgłos lub nawet sztuczne łkanie płaczek pogrzebowych. Niegdyś szlachcic na zagrodzie wykrzykiwał swą równość z wojewodą, podnosił głos osobisty do najwyższego wrzasku, groził nieugiętym uporem, ale gdy wojewoda rozstawił biesiadne stoły, groźny oponent wtykał za pas łyżkę, brał burkę z szerokim kapturem, ażeby weń wlać dużo flaków i biegł zmięknony na podwórze pańskie. Tak było dawniej, ale tak teraz nie jest i my usilnie staramy się o to, ażeby tak już nigdy nie było. Jak wszystkie społeczeństwa ucywilizowane, pod wpływem prądów czasu zróżniczkowaliśmy się na stany, stronnictwa i grupy społeczne, które posiadają odmienne dążenia i cele szczegółowe i które zwalczać się muszą. Kto chce te sprzeczne żywioły stopić w jeden jakimś toastem i frazesem, kto sądzi, że przeciwieństwa znikną wobec bryły obrobionego marmuru z magicznym napisem, ten jest poprostu w sprawach publicznych smarkaczem. Społeczeństwa nigdzie nie pracują nad swym rozwojem jako jednorodne całości. I właśnie chroniczną słabością naszego było i jest to, że ciągle przygodni pasterze traktowali je jako gromadę podobnych owiec, że do tych samych przedsięwzięć zabierają się u nas ludzie ściągnięci, spędzeni lub zwołani trafem jak obława. Dwa woły prędzej pociągną wóz, niż wół, koń, baran i zając. Należy więc w robocie publicznej łączyć się według powinowactwa sił, a nie według wspólności hotelu. Tylko biesiadowicze, toastowicze, frazesowicze, pieczeniarze i inne tejże wartości osobniki nie rozumieją tego i ciągle próbują zamienić walkę życia na wspólną ucztę w domu panów lub przynajmniej pod ich opieką.

P. J. Kościelski był poetą utalentowanym. jest człowiekiem miłym, działaczem w dobrej wierze, ale stał się politykiem złym i uwodzicielem szkodliwym. Z tego powodu

nie mamy i mieć nie będziemy dlań uznania i sympatyi, chociażby w swym parku wystawił pomniki wszystkim wieszczom polskim, dopóki nie przesunie się na inny tor dążeń. Nie cieszył on się również przed kilku miesiącami dobrą sławą w kilku pismach warszawskich, a nawet niektóre „kąsały go *za* łydki," ale zwykłe bejcowane tablice pamiętają tylko to, co na nich dzień dzisiejszy napisze. *Prawda* nie należy do tych tablic i swoją pamięcią obraża je najczęściej, a chociaż wobec „patryotycznego czynu" p. Kościelskiego zachowała się tylko krytycznie i wstrzemięźliwie, popsuła rozdźwiękiem chór dziękczynny wielu z tych, którzy u możnego pana byli, wino pili lub zdaleka ślinę połykali.

Te wszakże dąsy nie sprowadzają nas z naszego stanowiska, które zajęliśmy nie po stuknięciu w palce, lecz po dojrzałym namyśle, i nie zmienia naszego poglądu, który wypowiedzieliśmy w sprawie pomnika. Jest on — powtarzamy — chwalebnym sprawunkiem bogatego pana — niczem więcej — takim samym, jak każdy obraz w jego galeryi. Pomniki publiczne — np. Mickiewicza w Warszawie — posiadają wielkie znaczenie społeczne, natomiast stawiane w ogrodzeniach prywatnych mają tylko wartość artystyczną. Słowacki w parku miłosławskim nie będzie budził pożądanych uczuć ogółu polskiego w Prusach, będzie co najwyżej sprawiał zadowolenie oczom gospodarza i jego gości. Więc na tę uroczystość nie trzeba było bić w wielkie dzwony „czynów narodowych," wystarczyłaby sygnaturka, zwołująca przyjaciół p. Kościelskiego na obchód domowy.

Tyle co do rzeczy samej. Słówko należy się p. Maryuszowi. Usprawiedliwia on „białego Henryka," że nie zaprosił „Pankracych," gdyż „zasiadanie przy jednym stole na miłosławskim bankiecie byłoby dla obu stron ambarasującem." Otóż p. Maryusz podwójnie się omylił, bo naprzód „biały Henryk" zaprosił „Pankracych" — i tem właśnie ich obraził — a powtóre, gdyby oni przypadkiem znaleźli się przy wspólnym stole biesiadnym, mamy jakieś przeczucie, że Henrykowie mniejby się czuli zaambarasowani sąsiedztwem Pankracych, niż obecnością wielu swoich obrońców. Bo oni rozumieją, że *à la guerre comme à la guerre*, a zwłaszcza w wojnie czasem więcej wart przeciwnik od towarzysza.

Ubezpieczenie od złodziejów.

Według dzienników rosyjskich, w Petersburgu ma powstać towarzystwo ubezpieczeń od kradzieży z włamaniem. Jest to możliwe i bardzo potrzebne. Ale jeszcze potrzebniejsza byłaby taka instytucya dla wsi, chociaż mniej możliwa. Towarzystwo bowiem musiałoby utrzymywać gromadę własnych agentów policyi prywatnej, którzyby wykrywali złodziejów lub udaremniali ich plany. A jednakże wiąże się to z kwestyą pierwszorzędnej wagi, która prędzej czy później musi być radykalnie rozwiązaną. Śród zadań administracyi państwowej nie widzimy pilniejszego i donioślejszego od zapewnienia ludności bezpieczeństwa. Nie nie pomogą wszelkie kulturalne dźwignie, wszelkie wysiłki energii, wszelkie nasiona oświaty, jeśli nad życiem jednostki i owocami jej pracy wisi ciągle miecz Damoklesa, zawieszony przez rabusiów i zbójów. Możemy o tem dowodnie przekonać się w naszym kraju i to w okolicach najbliższych punktu naszej obserwacyi. Pomimo znacznego wzmocnienia straży ziemskiej w otoczeniu Warszawy, pomimo obostrzenia kar na koniokradów, pomimo obsadzenia posad naczelników w powiatach przyległych ludźmi sprężystymi, napady i kradzieże trwają ciągle. Zwłaszcza nieszczęśliwe konie robocze — często główne podpory gospodarstw włościańskich — stają się łupem opryszków. W początku roku bieżącego wyłowiono i osadzono w więzieniu kilkudziesięciu łotrów z powiatu Nowomińskiego. Dopóki trzymano ich za kratą, panował względny spokój, który ludność błogosławiła wdzięcznością; obecnie wypuszczono część oskarżonych — i znowu rozpoczęły się nocne napady i kradzieże. Trzeba przyznać, że obaj naczelnicy tego powiatu starają się szczerze i energicznie okiełznać rabusiów, ale jest to praca nad siły. To też gdyby u nas zawiązało się towarzystwo ubezpieczeń od kradzieży z włamaniem na wsi, ile jest gospodarstw, tyle by przystąpiło do tej asekuracyi.

Hodowla buldogów.

Nasza opinia publiczna z wielką trudnością odróżnia istotną oryginalność myśli, w której tkwi jakiś nowy promień światła, od najniedorzeczniejszego dziwactwa. Stąd też mamy to gwałtowne wiry uniesień, kręcące się około pewnych osób i pomysłów, a szybko niknące bez śladu. Jesteśmy najmocniej przekonani, że gdyby ktoś w dyalektycznym wywodzie rzucił twierdzenie, że: miłość jest to kwadrat trójboczny, napełniony tlenkiem potasu z pod Waterloo — znalazłby zwolenników, którzy zawołaliby: oto mistrz z gwiazdą na czole! Podobny widok mieliśmy w prasie naszej po „Uwagach niepowołanego o wychowaniu" w *Gazecie Polskiej*. Autor ni mniej ni więcej tylko żąda, abyśmy młodych chłopców nie ujmowali w żadne karby i pozwolili im swobodnie wyładowywać swą dzikość, gdyż taka metoda wykształca ludzi tęgich, zdrowych, twardych, „z przymiotami buldoga," którzy są najpotrzebniejsi i posiadają największą wartość. „Życie bowiem *nie zna* (chyba zna!) podziału na złych i dobrych, ale na silnych i słabych." Przeciwko temu odgrzanemu spartanizmowi zaprotestowano z kilku stron, ale z przeczen wytrysł jednocześnie strumień zachwytu. Nikt przytem nie zwrócił autorowi uwagi na następujące drobiazgi: 1) że my już przeszliśmy przez okres swobodnych wybuchów energii fizycznej i nie przeszkadzaliśmy naszym chłopcom, a nawet dojrzałym mężom w rozbijaniu sobie głów, mimo to nie staliśmy się Anglikami; 2) że ludzie muszą dążyć do osiągnięcia największych skutków kosztem najmniejszego wydatku sił, a zdrowie i dzielność cielesną można zdobyć bez rzucania dzieci w bijatyki, z których wychodzą z rozszarpanemi twarzami, 3) że o ile przesadne i drobiazgowe marnowanie życia jednostek wyrządza im szkody, o tyle rozumne oszczędza im niepotrzebnych strat i przyspiesza ich rozwój; 4) że ludzkość obecna ma za wiele osobników z „przymiotami buldoga," a za mało dobrych, bez których obyć się nie może; 5) że samo istnienie i zwyciężanie słabych jest wystarczającym celem dla wieprza lub kangura, ale nie może być wyłącznym celem człowieka, który pragnie nadto istnieć w pewnej postaci i w pewnych warunkach; 6) że zresztą w walce o byt buldogowe przymioty nie dałyby nam przewagi, gdyż innych buldogów jest na świecie znacznie więcej. Ta więc hodowla nie obiecuje nawet w odległej przyszłości uczynić nas Anglikami, którzy autorowi tak strasznie imponują.

Teatr kosztem ogrodu.

Kilka pism doniosło, jakoby powstał zamiar zbudowania nowego teatru letniego w Ogrodzie Saskim od ulicy Królewskiej. Przeciwko temu projektowi występuje energicznie i zasadnie *Gazeta Polska*. Przypomina ona, ile to już odłamano kawałków od tej pięknej oazy na teatr, wody mineralne, cieplarnię itd. „Po tylu wytrzebieniach najpiękniejszych zagajników miejskich — pisze dalej — jak Foksal, ogród Kronenberga itd., po takiem zacieśnieniu domów o podwórkach jak studnie śród czteropiętrowych cembrowin murowanych, jedyny zbiornik powietrza czystego na obszerną dzielnicę skupionych i przeludnionych kamienic ma jeszcze ulegać redukcyi?... Dzisiejszy Teatr Letni był omyłką? Zgoda. Ale dlaczegóż ogród ma odpowiadać za cudze omyłki, pokutować za winy niepopełnione?.. W złem miejscu stoi teatr? To należy mu wyszukać inne, może w obrębie terytoryum ulicy Wierzbowej, może na Okólniku hr. Krasińskiego... Mniejsza wreszcie gdzie, chodzi tylko o to, ażeby przez usunięcie jednego złego nie wpaść w drugie większe."

Głos to bardzo rozumny i niewątpliwie będzie uwzględniony. Uraziła nas w nim tylko jedna fałszywa nuta. Reporterzy warszawscy, którzy nietylko nie myślą przedtem, ale nawet potem, gdy coś napiszą, stworzyli niedorzeczną i krzywdzącą bajkę o jakiejś nienawiści komitetu plantacyjnego i wogóle ogrodników miejskich do starych drzew, które jakoby mają być bez potrzeby wycinane. Kto cokolwiek zna się na rzeczy i widział owe wrzekome wandalizmy, ten musi dziwić się, jak ludzie poważni mogą za bezmyślnymi paplaczami powtarzać bezzasadną plotkę. Powtarza ją również autor wspomnianego artykułu i przewidując wycięcie dla teatru wielu starych drzew, dodaje w nawiasie: „z góry zatrzyj ręce o komitecie plantacyjny!" Ostra ironia: wtedy, kiedy komitet plantacyi zaczął ratować Warszawę od zagłady roślinności, wtedy, kiedy on i ogrodnicy miejscy zaczęli ten nagi gród zadrzewiać i tworzyć publiczne ogrody (ujazdowski), skwery i kobierce kwiatowe, wtedy właśnie zaczęto z nich drwić i oskarżać, że dla kaprysu wyrębują drzewa. Jak tu pracować śród takiego uznania!

Paszporty zagraniczne.

Niedawno *Warsz. Dn.* zabrał głos w bardzo ważnej sprawie paszportów zagranicznych. Dotychczas jeszcze istnieją w całej mocy bez zmian postanowienia, wydane w piątem dziesięcioleciu wieku niniejszego, pomimo że wogóle dość znacznie przekształcono cały system paszportowy. „Nawet ustawa o tak zwanych „widach," zapewniająca znaczne ulgi przy wydawaniu tych dowodów, zatrzymała *status quo ante* w stosunku do legitymacyj zagranicznych. W prasie, która wogóle wypowiadała się za możliwie największem ułatwieniem formalności paszportowych, zaznaczono tylko mimochodem ograniczenia, wywoływane różnemi ceremoniami przy wydawaniu paszportów zagranicznych, jak gdyby bez tych utrudnień nie można było istnieć." Tymczasem, jak słusznie twierdzi *Warsz. Dn.*, wobec szybkiego wzrostu stosunków międzynarodowych należałoby dokonać dokładnej oceny dodatnich i ujemnych stron wydawania dowodów legitymacyjnych. Po co istnieją paszporty zagraniczne? — zapytuje organ powyższy. „Za granicą nigdzie, prócz Niemiec i Austryi, nie są one wymagane od podróżnych z Rosyi. Po przejeździe granicy chowają je do kieszeni aż do czasu potrzeby okazywania ich przy powrocie na granicy rosyjskiej. Prawda, że w razie zwracania się do konsulatów trzeba pokazywać ten dowód; ale czyż nie wszystko jedno pokazać paszport zagraniczny lub krajowy? Według prawa (art. 214 ustawy o paszp.) każdy, „zamierzający wyjechać za granicę," musi się zaopatrzyć w osobny paszport, po złożeniu świadectwa policyjnego o tem, że „niema żadnych prawnych przeszkód do wyjazdu." Policya zaś obowiązana jest wydawać takie świadectwa, jeżeli tylko nie złożono jej prawnych żądań natury przeciwnej ze strony wierzycieli prywatnych lub instytucyj i osób rządowych. Instytucye rządowe, o ile wiadomo, żądań takich nie wyrażają, tem bardziej, że pozbawienie prawa otrzymania paszportu zagranicznego nie należy do liczby środków,

zapobiegających uchylaniu się oskarżonych od śledztwa. Co do osób złej konduity, to zdaje się również ustalono pogląd, że praktyczniej jest dopomagać do ich wysiedlenia, aniżeli do przymusowego przebywania w państwie. Wierzyciele prywatni również nigdy nie uciekają się do zatrzymania dłużników tą drogą. Zresztą w razie potrzeby można każdego zatrzymać na granicy." *Warsz. Dn.*, poruszając tak ważną sprawę, pominął zupełnie drożyznę paszportów zagranicznych, których wyrobienie kosztuje 15, a nawet przy pośpiechu 20 rb. Za taką sumę można przebyć znaczną przestrzeń Zachodu. Prawda, że z tej pozycyi dochód jest bardzo wielki: ale można byłoby go łatwo przesunąć lub rozłożyć w systemie podatkowym, z większą niż obecnie równomiernością.

JÓZEFA DOBIESZEWSKA.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Dn. 22 września zmarła w Maryenbadzie powieściopisarka i publicystka, Józefa ze Śmigielskich Dobieszewska, która przed laty miała popularność jako autorka i pierwsza bojowniczka w sprawie kobiecej (w powieści p. t. „Nie zawsze ten sieje, kto zbiera"). Ur. r. 1820, w Warszawie, tu odebrała wykształcenie w instytucie wychowania panien. Zawód literacki rozpoczęła na szpaltach *Ateneum*. Następnie w Petersburgu wydała powieść dwutomową p. t. „Sukcesya i praca." Prawie jednocześnie zaczęła uprawiać pole literatury dla dzieci i w tym zakresie położyła pewne usługi. Cieszyły się powodzeniem jej „Zabawy przyjemne i pożyteczne, czyli zbiór powieści, poezyj i podróży dla młodego wieku" (sześć tomików, wydanych w Warszawie r. 1856—57), oraz „Zabawy umysłowe dla młodego wieku" (1861 r.), wreszcie „Obrazki z życia bogobojnych Polaków i Polek." Wespół z Aleksandrą Borkowską założyła dwutygodnik ilustrowany p. t. *Kółko domowe* (r. 1861). Pisała później o wychowaniu kobiet wobec zadań społecznych i zamieszczała korespondencye w paru pismach. Ideałem i dążnością Dobieszewskiej przez całe życie było dać młodzieży podstawy umysłowe i duchowe do pracy samodzielnej.

BADANIA NAUKOWE.

FILOZOFIA.

W. Lutosławski: *Seelenmacht*. Abriss einer zeitgemassen Weltanschauung. Lipsk (301 str.).

I.

Zdaje się, że palce jednej ręki wystarczają do policzenia wszystkich naszych filozofów współczesnych. Jednym z nich jest p. Lutosławski, który od lat wielu uprawia to pole ze szczerem zamiłowaniem i wielką pracą, tak wielką, że jej plony nie odpowiadają swą wartością jej nakładowi. Autor bowiem przeważnie poświęcił się badaniu Platona, a nietylko go gruntownie przestudyował, nietylko przedstawił w obszernem dziele (angielskiem) jego logikę, ale nadto w długoletnich poszukiwaniach bibliotecznych zebrał całą bibliografię, dotyczącą tego mędrca i obmyślił osobną naukę, stylometryę, która ma dawać niezawodne sposoby ścisłego oznaczenia chronologii jego pism. Taka ofiara z czasu, sił, myśli i niemal życia dla jakiegoś mistrza musi być objawem szczególnej dla niego czci i wiary w jego geniusz. Rzeczywiście p. Lutosławski uległ zupełnie wpływowi Platona, swoje wywody osnuwa na kanwie jego systematu i wpatruje się ciągle w owo słońce filozofii greckiej aż do utraty własnego wzroku.

Obecna jego praca, „Potęga duszy," jest nietylko najwymowniejszym dowodem tego olśnienia, ale też jak gdyby całkowitym pacierzem naszego filozofa. Ażeby zrozumieć jego twierdzenia, zwłaszcza w krótkiem streszczeniu, pamiętać trzeba, że on nie jest fizykiem, lecz metafizykiem, że daleko większą pewność, oczywistość i zakres przypisuje wiedzy, zaczerpniętej z obserwacyi wewnętrznej, niż zewnętrznej, z duszy, niż ze zmysłów. Według niego pomiędzy wiedzą a wiarą zachodzą tylko pozorne sprzeczności, gdyż przeważna ilość prawd pierwszej spoczywa na drugiej. Mniemanie to nie przekona żadnego umysłu krytycznego i przeczy najoczywistszym faktom, ale jest poparte zręczną dyalektyką. Najwięcej wszakże jej wysiłków zużył p. L. dla udowodnienia duszy. Mózg nie jest ani nią, ani nawet jej siedliskiem, lecz jej mechanizmem. Zdarzało się, że ludzie „po utracie znacznej części mózgu *równie dobrze* myśleli, jak przedtem." W jakich wypadkach i kto je ustalił — nie zaznaczono. Gdzieindziej tylko znajdujemy wzmiankę, że H. Lotze dostarczył „najbardziej stanowczego świadectwa starej, przez Platona odkrytej prawdzie, że myślenie odbywa się bez koniecznego współdziałania mózgu." „Tylko to — uczy nas dalej autor — co ja znam jako moje własne *ja*, jest moją duszą." Nie stanowi ona wszakże mojej własności, lecz jest mną samym. „Mogę co do siebie mylić się, jako co do innych rzeczy zewnętrznych. Ale o ile sam siebie czynię przedmiotem moich myśli, jestem duszą: dusza stanowi objektywne pojęcie, którego subjektywne życie jest mi znane jako moje własne *ja*." Wszystkie te wszakże objaśnienia, a nawet dołączone do nich przykłady nie podnoszą jeszcze całkowicie zasłony z tajemniczej istoty, z której ma ją zdjąć następujące określenie: Ostateczną, rzeczywistą przyczynę wszystkich nazwisk nazywają filozofowie substancyą. Dla fizyologa są nią komórki (?), dla chemika — atomy, dla filozofa (prawdziwego) — dusza. „Dopiero Plato uznał w duszy jedyną rzecz, która dla swego istnienia nie potrzebuje żadnego innego, a zarazem pojął, że wszystkie zjawiska cielesne muszą być ruchami, których pierwszej przyczyny należy zawsze szukać w duszy. To wielkie metafizyczne odkrycie substancyalności duszy nie wymagało innego środka, tylko logicznej dojrzałości ducha i każdy musi je zrobić ponownie, kto chce poświęcić się filozofii." Choroba jest „buntem" ciała przeciwko duszy, która wówczas traci *część* swej władzy. „Władza ta bywa *do pewnego stopnia* uwarunkowana stanem zdrowia i wprawą. Ale są stany, w których natężenie woli stwarza nieoczekiwane siły, wcale niedostrzegalne, dopóki brakło tej przyczyny psychicznej." Dlaczego niezależna potęga ulega buntowi żywiołu, którym zupełnie włada i do jakiego stopnia on uwarunkowywa jej działalność — autor nie wytłomaczył. Wogóle stosunek czynnej duszy do biernego ciała dla czytelników, którzy nie zadawalają się wyrazami i chcą rzecz zrozumieć dokładnie, pozostał w wywodzie p. L. splątanym i zagadkowym. Przykłady ciągle zawodzą. „Jeżeli ktoś się otruje — mówi np. jeden z nich — nie należy uważać trucizny za przyczynę śmierci, gdyż bez jego woli trucizna nie miałaby sposobności do działania." No a jeżeli człowieka piorun zabije — jakiż w tem udział przyjmowała jego wola? W całym tym rozdziale autor robi nadzwyczajne wysiłki dyalektyczne, ażeby wykazać nietylko zwierzchniczą niezależność duszy od ciała, ale nawet słaby wpływ tego ostatniego na samą istotę i objawy życia. Bardzo surowy w ocenianiu ścisłości prawd matematycznych, nie gardzi w zbieraniu dowodów najbardziej podejrzanemi anegdotami.

Tę pewność, że jestem duszą, posiadam bezpośrednio, ale skąd wiem o istnieniu innych dusz (ludzi)? Na drodze metafizycznej, gdyż „każda dusza posiada moc działania na inne." Na tem twierdzeniu kończy się nasze prawo stawiania dalszych pytań, a telepatya i suggestya dostarczają nam niezbicie przekonywających dowodów. „Dusz nie rozdziela żadna odległość, przestrzeń bowiem istnieje tylko w nich. Działanie tedy jednej duszy na drugą stanowi najprostszą formę stosunku przyczynowego, daleko łatwiejszą do pojęcia, niż działanie duszy na ciało. Tu spoczywa także rozwiązanie zagadki pewności naszej o istnieniu innych dusz, która nie da się objaśnić przez proste wrażenie zmysłowe. Jest to pewność intuicyjna, osiągnięta niezależnie od zmysłów, a dopiero później przez nie stwierdzona." Jako świadek występuje Towiański: miał on podnosić czułemi słowami upadłe konie, które nie chciały powstać pod wpływem uderzeń i wymysłów. Kamienie są tylko „grupami atomów," ale rośliny i zwierzęta posiadają dusze. Wyłączenie kamieni z koła istot ożywionych jest dosyć dziwnem wobec następujących oświadczeń autora: „Nie potrzebujemy wcale sił tajemniczych, działających na ciała z zewnątrz, jak mniemają niektórzy astronomowie. Dopóki mówimy o przyciąganiu, jako sile materyalnej, pozostaje ona niezrozumiałą... Natomiast jest *zupełnie jasnem do pojęcia*, jeżeli wyraz ten weźmiemy psychologicznie, jako dobrze znane (!) nam uczucie sympatyi do pewnych osób lub rzeczy. Wówczas atomy nie okazują się poruszanemi w przestrzeni masami materyalnemi, lecz duszami." (Więc dlaczego „grupy atomów" — koniecznie nie mają dusz?). Te dusze tworzą coraz wyżej wznoszącą się drabinę, począwszy od najprostszych (atomowych) do ludzkich.

Tu niech czytelnik przygotuje się na wejście do labiryntu. Atom bowiem jest monadą, posiadającą indywidualny charakter. Monady znajdują się w rozmaitych stopniach rozwoju i doskonałości. Ciało nasze jest systemem monad (a więc dusz) nierównego znaczenia i przeznaczenia: tak np. osobna może kierować trawieniem. Dalej zjawiają się monady organiczne. Mają one bogatsze życie wewnętrzne i szerszy krąg działania, niż atomy nieorganiczne (a więc i atomy są dwojakiego rodzaju). W takiej ustopniowanej hierarchii monad każdy organ posiada duszę, która od naszej własnej zależną jest wogóle, w szczegółach zaś używa swobody. Jedynem źródłem poznania naszej duszy jest świadomość. „Jeżeli tedy coś staje się nieświadomem, nie czyni tego nasza dusza, lecz inne monady, które niejako od nas nauczyły się." Nie dość na tem: oprócz duszy głównej i podwładnych jej monad, posiadamy jeszcze „wiele dusz pomocniczych, które z ciałem są równie ściśle złączone, jak nasza własna dusza, a kierują specyalnemi funkcyami i ruchami ciała." Godna zaznaczenia jeszcze jedna wiadomość o tych naszych duszach. „Jeśli mówimy, że ktoś oszalał, to znaczy, że umarł, a więc opuścił (on!) swoje ciało, które wszakże nie przestało żyć, tylko zawładnęła niem dusza podludzka. Jeżeli zaś obłąkany rzekomo przypomina sobie poprzednie wypadki, skąd powstaje pozór tożsamości osobowej, polega to na tem, że dusza, ożywiająca teraz ciało, wprzódy uczestniczyła w jego doświadczeniach, ale pod kierunkiem duszy ludzkiej. Takie dusze pomocnicze są nawet przeznaczone do stania się kiedyś duszami ludzkiemi, po dostatecznem wyszkoleniu się pod duszą ludzką, jak to bywa w społeczeństwach ludzkich, gdy uczeń zostaje później nauczycielem."

zyznać trzeba, że takie psychologie są ziś nadzwyczajną rzadkością.

(D. n.).

J. Peisker i J. Lippert.

rzed paru laty J. Lippert wydał książkę, poświęconą społecznym dziejom Czech. Praca ta doczekała) do pewnych punktów, wyczerpują- rytyki ze strony J. Peiskera, druko- j w czasopiśmie wejmarskiem *Zeit- t fur Social-und Wirthschaftsgeschichte.* zynki te sięgają głębiej, niż tego wy- laby pospolita ocena, bo usiłują prze- we światło na parę zagadnień, doty- ch pierwotnego bytu Słowian zacho- . Wywody J. Peiskera dotyczą zwła- dwóch punktów, a mianowicie natu- rwotnego rolnictwa u Słowian, oraz ku żupanów do smerdów.

Lippert w dziele swojem podniósł zaznaczony przez pierwszych kroni- czeskich, że widownia pierwszych eń historycznych czeskich, co do któ- wspomnienie pozostało w pamięci, już za czasów Kozmy praskiego puszcz, lasem porosłych, tymczasem i inne punkty pisanej historyi roz- są w zgoła innej okolicy. Przejście dnej widowni do drugiej objaśniał nianami w trybie gospodarowania: wla bydła, połączona z myśliwstwem łowstwem, według innych zasad mu- wybierać terytoryum, aniżeli coraz iej wzrastające rolnictwo.“ Krytyk, ając zupełną słuszność uwagi J. rta co do zmiany miejsc, w których a się historya Czech, oraz innej, iż wisko pochodzi z przyczyn ekonomi- ı, tj. z zastąpienia jednego trybu larowania przez inny, jednocześnie a się przeciw twierdzeniu, jakoby chodziło tam o pasterstwo i rolnictwo. Raczej należy przypuścić, iż formą panującą zarobkowania w okresie, kiedy Czechowie zamieszkiwali późniejsze knieje, było rolnictwo, naturalnie połączone z dość rozległą hodowlą bydła. Pierwotna historya Czech, oraz innych Słowian, np. Karyntyjskich, pierwotnie była historyą ludu leśnego, zarodki osiadłej kultury poczęły się nie w żyznych nizinach rzecznych, lecz na jałowych wyniosłościach, a wzmógłszy się tam, spuściły się na dół. Ślady zagonów na wysokości 400—800 metrów nad poziomem morza odnaleziono w wielu punktach Czech pod lasami. Ażeby dowieść, iż właśnie takie ekstensywne górskie rolnictwo było możliwe, J. Peisker rozbiera drobiazgowo naturę pierwotnego pługa słowiańskiego. Niepodobna nam zapuszczać się za nim w rozbiór tej kwestyi, poprzestaniemy więc na zaznaczeniu ostatecznego rezultatu, a mianowicie, że ukształtowanie narzędzi rolnych słowiańskich świadczy, iż były obliczone na uprawę twardej, kamienistej gleby, takiej, jaka jest właściwą podobnym przestrzeniom, wyniosłościom górskim. Rolnictwo owo polegało na wypalaniu pewnego kawałka puszczy i na uprawie tego miejsca. Po pewnym przeciągu czasu porzucano wyjałowione pole i przechodzono na inne wypalenisko. Samo rolnictwo posiadało więc charakter koczowniczy, przenośny, a prawdopodobnie i osady ludzkie przechodziły z miejsca na miejsce w miarę uprawy innych obszarów. O takiej uprawie pól posiadamy wzmianki, sięgające niemal ostatnich czasów, w Styryi.

Rozstrzygnąwszy kwestyę pierwotnego trybu gospodarowania, krytyk przechodzi do drugiej części swoich wywodów, mianowicie do stosunku pomiędzy żupanami a smerdami. Zaznaczmy, iż te nazwy spotykamy w różnych punktach Słowiańszczyzny. Istnieją one i u Słowian zachodnich, i w Styryi. Smerdowie są wspominani w kronikach ruskich, jako specyalna warstwa ludności. Termin ten był znany i u nas. J. Peisker tak twierdzi, opierając się na przysłowiu: „co wolno wojewodzie, nie wolno tobie, smrodzie!,“ oraz na pewnym ustępie z pracy Starowolskiego, w którym panowie są przeciwstawieni smerdom. O ile jest o nich wzmianka, występują jako grupa ludności bardzo liczna, uprawiająca ziemię. Źródła ruskie świadczą, że stanowili oni wolną klasę narodu. Podobnież licznie zjawiają się oni w Misnii. Co do żupanów mówią o nich źródła misnijskie, ale nigdzie nie ma ich w takiej obfitości jak w Karantanii. Pospolicie widziano w nich dostojników, a więc przedstawicieli wszelkiego zarządu. Krytyk J. Lipperta usiłuje dowieść, że byli zanadto liczni, ażeby mieli być tylko taką warstwą, jak wyraziłby się prawnik dzisiejszy, funkcyonaryuszów społecznych. Przeciwnie, przedstawiali coś więcej, bo liczną warstwą uprzywilejowaną, która dopiero później, w miarę przekształcania się warunków bytu społecznego, powoli przybierała inny charakter, aż wreszcie zajęła częściowo owo stanowisko funkcyonaryuszów. O tej ich liczebności przewybornie świadczą źródła styryjskie. Dochowała się lustracya pewnej dzielnicy tamtejszej z wieku XIII, drobiazgowo podająca liczbę osad i daniny przez nich opłacane. Osadnicy są podzieleni na dwie kategoryo, mianowicie na pospolitych włościan i żupanów. Każdy żupan posiada po dwa łany, co zaś do opłacanych danin składa je w naturaliach. Ponieważ trzeba przypuścić, iż rodzaj owej daniny był w związku ze źródłami utrzymania, wynika stąd wniosek naturalny, iż żupan w stopniu większym, niż prosty włościanin, zajmował się hodowlą bydła. Miejscami istnieją wioski, posiadające po jednym żupanie, to znowu znajduje się tylko żupan, lecz niema osadników, to wreszcie cała niewyodosobniona grupa żupanów została przeciwstawiona takiej samej zbiorowej grupie osadników. Przeciętnie na jednego żupana przypada 3,64 pospolitych osadników, a więc pierwsza klasa przedstawia bardzo liczną warstwę w Słowiańszczyźnie styryjskiej, władającą odpowiednio znaczną przestrzenią gruntów.

Zachodzi pytanie, jaki jest początek tych dwu warstw ludności słowiańskiej.

Co do smerdów, J. Peisker robi wzmiankę, iż człowiek w okresie barbarzyńskim zwykle nazywał rzeczy po imieniu, Smerdowie więc byliby po prostu „ludźmi, którzy śmierdzą.“ Ich źródła zarobkowania musiały być takie, iż budziły obrzydę wśród innej grupy tego samego narodu i spowodowały tę ostatnią do nadania swoim współplemieńcom podobnej nazwy. Możliwem jest to tylko przy przypuszczeniu, iż jedna część plemienia zajmowała się pasterstwem, rzemiosłem pierwotnem wszystkich, druga zaś, zmuszona ubóstwem i utratą trzód, przeszła do rolnictwa, zaczęła pędzić żywot względnie osiadły, zamknięta w mniej lub więcej stałych osadach. Rolnicy ci i położeniem swojem i zajęciem rolniczem, tak pogardzanem przez pasterzy, pozyskali obelżywą w naszem przekonaniu nazwę smerdów, która przecież była niczem innem, tylko streszczeniem wrażeń codziennie otrzymywanych przez plemieńców - pasterzy w stosunku z rolnikami. Smerdowie z biegiem czasu zamienili się na niższą warstwę plemienia, tymczasem arystokracya plemienna, mianowicie żupani, długo jeszcze pozostali przy pasterstwie i wraz z niem przy swojem uprzywilejowanem stanowisku. Nazwa zaś ich, „żupani,“ była może pokrewną źródłosłowowi, zawartemu w niemieckiem „Sippe,“ tj. rodu mniej więcej.

W ten sposób pierwotna organizacya Słowian zawierałaby w sobie dwie warstwy. Pierwszą byłaby szlachta, zajmująca się pasterstwem, rozgałęziona i urządzona według parenteli, tj. na podstawie pokrewieństwa rzeczywistego lub wyobrażanego. Możliwem jest, iż pierwotnie żupą nazywała się taka „Sippe,“ na zewnątrz ograniczona pewnym obszarem paśników, a od takiej gromady i sam ów obszar, a może odwrotnie, bo i to nie jest wykluczone, iż jako żupa słynęła pewna przestrzeń wyodrębniona, a nazwa jej przeszła z biegiem czasu na grupę krewniaków-pasterzy, żyjących w jej obrębie. W miarę tego, jak ten i ów żupan ubożał, brał się do roli, przestawał więc być uczestnikiem więzi pasterskiej, żupy, i zostawał wydzielony z parenteli szlacheckiej. Potrzebując opieki i obrony, znajdował ją u bardziej ruchliwego żupana, któremu uiszczał w zamian za to pewne daniny, ale płynęły one do rąk nie pojedynczego żupana, tylko całej niepodzielnej żupy w danej okolicy. Obie grupy koczowały w granicach pewnego zamkniętego terytoryum, jedni jako pasterze ze swemi trzodami, drudzy jako rolnicy, uprawiający kawałki pola wśród puszcz, posługując się wypalaniem lasów i przechodząc z miejsca na miejsce w miarę wyjałowienia takich pól.

Taką organizacyę społeczną zastali zdobywcy niemieccy, przyzwyczajeni pobierać daniny z jednostek przestrzennych. Przekształcili ją więc w pewien sposób odpowiednio do swoich zwyczajów. Stosunki, które wskutek tej reformy powstały w Styryi, J. Peisker usiłuje odbudować, opierając się na materyałach lustracyjnych. Mianowicie, porozdzielano rolników pewnej okolicy pomiędzy pojedyncze związki żupańskie, tak iż każdemu z nich dostała się pewna liczba kmieci, proporcyonalna do wielkości związku. W przybliżeniu na pojedynczego żupana przypadło 3,60 osadników. Każdemu z takich żupaństw i wchodzącej w skład jego warstwie włościańskiej wydzielono pewną stałą przestrzeń gruntów, przyczem każdy żupan dostał dwa łany, każdy kmieć jeden. Wreszcie podział włościan pomiędzy pojedynczych członków tej samej żupy został dokonany nie na zasadzie pogłownej, lecz według linij, tam istniejących i wyprowadzających się od wspólnego przodka. Miejscami przecież jeszcze długo utrzymał się zwyczaj posiadania przez cały związek żupański pospołu swoich włościan.

Opuszczamy szczegóły i drobiazgi. „Odbudowanie starosłowiańskiej więzi społecznej — powiada w końcu pracy swojej J. Peisker — jest bardzo niezupełne, dziełu braknie wnętrza, trzeba dowieść wytrzymałości każdej belki i każdej podpory.“ Właśnie w naszem sprawozdaniu podaliśmy tylko zasadnicze zarysy. Nastręcza się pytanie, o ile przedstawiona teorya może rościć sobie prawo do tego, iż chociaż przybliżenie odpowiada rzeczywistości. Istnieją tu dwojakiego rodzaju probierze. Jedne polegają na poparciu wyłożonej hypotezy przez dalsze fakty, zaczerpnięte z bytu społecznego pierwotnej słowiańszczyzny. Drugie, pospolicie lekceważone, a przecież naszem zdaniem bardzo doniosłe, jeśli umiejętnie zużyte, spoczywają w etnologii porównawczej: o ile mianowicie rozwój innych ludów, znajdujących się w podobnem przejściowem położeniu od pasterstwa do rolnictwa, potwierdza teoryę przeciwstawności pomiędzy szlachtą - pasterzami a ludem - smerdami.

Właśnie tego ostatniego rodzaju dane raczej sprzyjają teoryę Peiskera, niż jej przeczą. O ile sięga nasza znajomość świadectw etnologicznych, wszędzie mamy do czynienia z faktem, iż naprzód ludy pasterskie patrzą z najwyższą pogardą na zajęcie rolnicze i nigdy nie przechodzą do niego, o ile nie zostały zmuszone konieczności bez wyjścia, powtóre, iż to przejście odbywa się nie masowo, lecz za pośrednictwem pojedynczych osób, wresz-

cie — i to stanowi bardzo ważną okoliczność — pobudką przejścia jest nędza. Koczownik zaczyna uprawiać grunta i zajmować się pasterstwem tylko pod wpływem ostatecznej nędzy. Taki stan rzeczy możemy badać w paru punktach globu jeszcze w chwili obecnej. Taki widok np. przedstawiają Kirgizi. Hodowla w ich oczach jest jedynie szlachetnem zajęciem, ale ponieważ nie wszyscy posiadają trzody takich rozmiarów, ażeby wyżyć z nich, bo biedniejsze gromady bydła znajdują się tylko w ręku rodzin książęcych, więc ten i ów biedak, rad nierad, bierze się do uprawy roli i z niej żyje, tem samem ściągając na siebie pogardę współrodaków. U Kafrów w Afryce południowej natrafiamy na podobne stosunki. Wodzowie i wogóle możni posiadają dziesiątki tysięcy bydła, zwyczajni plemieńcy są często zupełnie ubodzy i muszą szukać schronienia u któregoś z możniejszych sąsiadów, przyczem ich żony trudnią się uprawą roli, oni sami zaś stanowią rodzaj lenników, zamieszkujących osadę swego pana. Po większej części szukają takiego opiekuna gdzieś w dalszej miejscowości. Ale może żaden kraj nie przedstawia tak klasycznego przykładu dla przejścia od pasterstwa do rolnictwa, jak dawna Irlandya. Powstał tam osobliwy ustrój wzajemnej zależności plemieńca od plemieńca, któremu Maine i inni badacze nadali charakterystyczną nazwę feodalizmu pasterskiego: zamożniejsi dawali uboższym pewną liczbę bydła na tych samych warunkach, na jakich odbywa się rozdawanie ziemi na lądzie europejskim w pierwotnym okresie wieków średnich, ci znowu starzali własnych lenników z tymi samymi obowiązkami. Tworzyła się cała hierarchia zależności aż do najniższych ogniw, które posiadały zamało bydła, ażeby utrzymać się z pasterstwa, i dlatego obok hodowli trudnili się jeszcze rolnictwem. Możnowładcy plemienni byli pasterzami, gmin — rolnikami.

Jak widzimy więc, świadectwa etnologiczne potwierdzają możliwość przypuszczenia, zrobionego przez J. Peiskera. Lecz inna rzecz przypuszczenie, a inna rzeczywistość. Czy żupani odpowiadają możnowładcom pasterzom, smerdowie zaś gminowi rolników, tego dowieść można tylko na podstawie materyału historyczno-miejscowego.

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

Walter Pater: *Imaginary Portraits — Carl von Rosenmold.*

W „Denysie Auxerrskim“ Pater charakteryzuje wczesny Renesans francuski; w „Księciu Karolu von Rosenmoldzie“ — niemieckie „Aufklaerung,“ epokę Lessinga, Herdera i wogóle poprzedników Goethego, którzy marzyli o nowej erze w literaturze i o urzeczywistnieniu ideału poetyckiego w życiu. Dążenia te skupione zostały przez autora ze ścisłością historyczną, ale zarazem z niesłychanym przepychem artystycznym w obrazie księcia Karola.

Dwór książąt Rosenmoldów — pełen architektonicznej wspaniałości — wydawał się na początku osiemnastego stulecia jeszcze pogrążonym w czasach średniowiecznych. Na zewnątrz wszystko pozostawało tu w tym samym stanie, co w przededniu wojny trzydziestoletniej: szanowna omszałość ciemno-zielona nie była naruszoną przez żadne przybudówki. Wewnątrz życie ludzkie — w swych myślach, zwyczajach, a głównie w etykiecie — odsunęło na zawsze wszystko, co mogło pobudzać i nadwyrężać spokój, bądź państwowy, bądź umysłowy. Pałac, nazbyt wielki dla swych mieszkańców, przepełniony był sprzętami zwykle nieużytecznymi, charakteru czysto ornamentacyjnego. Niezliczone mnóstwo herbów pokrywało wszystko na wewnątrz i zewnątrz — meble, ściany, okna. Większość mieszkańców stanowiła urzędników dworskich tego rodzaju, jak tenor organista, poeta dworski itd., każdy ze swymi asystentami — wszystko to, ściągnięte ceremoniałem, służyło do skracania powolnego biegu godzin.

W bibliotece o oknach gotyckich młody książę Karol znalazł razu pewnego stary tom z r. 1486, z rysunkami Alberta Dürera, zatytułowany „Ars versificandi“ Konrada Celtesa. Poeta ten był laureatem cesarza Fryderyka III i marzył o wskrzeszeniu w Niemczech poezyi greckiej i rzymskiej. Karolowi zwłaszcza podobała się oda końcowa: „Ad Apollinem, ut ab Italis cum lyra ad Germanos veniat.“ Prośba do Apollina, aby przyszedł od Włochów do Niemców ze swą lirą. Dusza germańska, nawiedzona przez zmory, ale zarazem dobra i łagodna, oddawna marzyła o tem, żeby bóg światła przybył z za gór, przyćmionych deszczami i uczynił dzień pogodniejszym. Marzył o tem wielki Dürer i przyjaciel jego Konrad Celtes, który wniósł istotnie promień jasności w te hyperborejskie mroki niemieckie. I o tem marzył także książę Karol.

Światło dzienne, jutrznia Apollina, którą młody książę chciał sprowadzić swemu narodowi, oświecanemu dotychczas blaskiem świec łojowych, przybyło w formie dość spornej francuskich sztuk, francuskiej architektury, francuskiej poezyi. Był to Apollo ukostyumowany, jako dworak Ludwika XIV. Dziad ks. Karola, wielki książę panujący, przychylnem okiem spoglądał na te nowości swego wnuka, który podczas epoki pełnej trąb wojennych odwracał jego uwagę ku pięknu i pogodzie rzeczy. Stary książę przewodniczył ceremonialnie przedstawieniu „Śmierci Hannibala“ Marivaux w teatrze kopiowanym z wzoru wersalskiego. Książę Karol, odziany według ostatniej mody francuskiej, grał rolę główną.

Rozpoczęto nowe budowle w stylu rokoko i sprowadzano modne wówczas obrazy mistrzów włoskich. Wprawdzie malarzem, który najbardziej przypadał do smaku księciu Karolowi, albowiem odpowiadał potędze jego męzkości, był Rubens. I on także przyniósł trochę przepychu włoskiego w te krainy północne, jeżeli nie gorące złoto słońca Tycyanowskiego, to przynajmniej wspaniałe barwy róż i tulipanów, o ile one mogły być sztucznie hodowane pod niebem dżdżystem. Następnie zaczęto mówić u dworu o fabrykacyi porcelany, tej prawdziwej alchemii zamieniającej glinę na złoto. Przybliżały się czasy panowania Chin i Drezna. Ale ponad wszystko ks. Karol przenosił z niesłychanym uporem sztukę francuską, którą uważał za ognisko umysłowe Europy. Rococo francuskie z XVII st. przedrzeźniające prawdziwy Renesans, wzbudzało w nim zapał bezgraniczny. Objaśnia się to jego młodością. Zaiste, siebie samego, w całej rzeczywistości i świeżości, odnajdywał w tych różach sztucznych. Zachwycał się tem wszystkiem głównie jednak dla tego, iż przy całej zdolności umysłowej, nie posiadał literatury w swym języku ojczystym.

Istniały wprawdzie książki niemieckie, ale nudne, zupełnie oddalone od wszystkich rzeczywistych interesów życia gorącego, różnobarwnego, które czuł koło siebie i w sobie samym. Znajdował więcej przyjemności w biegu naturalnym swych własnych myśli samotnych, niż w książkach, które z taką zaciekłością wyszukiwał, żeby odnaleźć w nich pożądane, przenikające światło umysłowe. A jednak nie mógł się wyzbyć wiary, iż istnieje gdzieś ta literatura, w której serce i umysł mogłyby znaleźć swe wyzwolenie, jakkolwiek nikt nie umiał powiedzieć — gdzie. Tym poszukiwaniom napróżno poświęcił liczne dni w swej starej, gotyckiej bibliotece.

Tymczasem w muzyce, można było sądzić, Niemcy zdobyli już swą wolność duchową. Dzięki sonatom młodego Sebastyana Bacha, usłyszano pierwsze nuty muzyki, niezapożyczonej z Francyi, lecz płynącej, jak ze źródła, wprost z duszy niemieckiej. Nowe Niemcy duchowe miały być, w myśli ks. Karola, wybudowane przy dźwiękach muzyki. W innych swych zapałach artystycznych, jako prorok dramatu francuskiego i architektury Ludwika XIV, poświęcał się szlachetnie, dopełniając swą dobrą wolą to, czego brakło w ich wezwaniu. Tylko muzyka okazała mu pomoc rzeczywistą — i jej oddał całą swą duszę. A jednak czuł, iż prawdziwego światła należało szukać gdzieindziej, we Francyi, we Włoszech, a nadewszystko w Grecyi starożytnej, pośród rzeczy drogocennych, które powinny były zachować się tam, nieznane, w sztuce, w poezyi, może być w życiu samem. Tak, ku Grecyi zwracały się jego marzenia niezaspokojone, acz ukołysane dźwiękami muzyki rodzimej.

I tak powoli dojrzał w nim projekt zwiedzenia tego kraju muz, którego ładne utwory Francyi, a nawet Włoch, były tylko odpływem i naśladownictwem. Chwilami wyobrażał sobie, iż musiał pochodzić z jakiejś rasy południowej, iż powinna była istnieć jakaś przyczyna fizyczna tego niepokoju i tej tęsknoty, dzięki którym myśl jego także naturalnie zwracała się ku Grecyi, jak igła magnesowa zwraca się ku biegunowi. Ale nie, wiedza heraldyczna dowodziła mu niezbicie, iż rasa jego była zawsze zupełnie tubylczą, jak sosny rosnące w lasach poblizkich.

Dla uspokojenia swej tęsknoty błądził po tych lasach, zagłębiał się w radosny ich szmer i prostą scenerye: jastrzębie, jak zaśnięte, unosiły się nad nim w powietrzu; skały złociły się w ostatnich promieniach zachodzącego słońca pośród poważnych dębów; młyn klekotał przyjemnie w zagłębieniu gór. A jednak rzeczy zewnętrzne wywoływały w nim takie nieraz złe rezultaty, zgęszczając jego mgły umysłowe, jak gdyby rzeczywiście istniało życie w tej naturze: duchy w tych górach nieprzystępnych, w tych ponurych przepaściach, jak to twierdzi starożytna poezya niemiecka. Śledził on melancholijny przebieg obłoków po niebie jesiennem. Wracał wówczas bardziej jeszcze znużony. Otoczenie uważało go trochę za waryata, jakkolwiek zawsze gotowe było schlebiać jego maniom, zapewniając go, iż jest sam Apollinem Germanii. Chciał wypróbować szczerość tych ludzi i zdemaskować dworaków. W tym celu odegrał wobec Europy całej następującą mistyfikacyę: postanowił być obecnym na własnym swym pogrzebie. Zresztą sam interes dramatyczny ponurego żartu pociągał jego ciekawość. W takim nastroju uczuciowym łatwo było się bawić wyobrażeniami śmierci. Tak w okresach upadku, lub zawieszonego postępu, gdy świat zdaje się drzemać, młodzież chętnie przybiera sztuczne pozy i gesty, które mają zamaskować starość. Wszystko koło ks. Karola było jakby w letargu, czasem świat cały wydawał się pochowany, ze swą budową państwową, sztuką i zwyczajami. Młody człowiek, z czerwonemi wargami i wielkiemi niebieskiemi oczyma, przybyły jakby z wielkim kielichem w ręku na ucztę życia, walczy z temi zmorami, które go dławiły.

Urządził wszystko tak sztucznie, iż nikt nie wątpił gdy w wyrazach ceremonialnych ogłoszono, że po krótkiej chorobie, wielki książę umarł. W żalu chwilowym, przypominają sobie zamiłowanie młodzieńca ku wspaniałości, ci, do których należało urządzenie tej sprawy, nadali pogrzebowi niesłychany i ponury przepych. Szczęściem dziad księcia znajdował się już w stanie zupełnego zdziecinnienia. Karol przebrany za muzyka wędrownego, był obecny na ceremonii, wysłuchał śpiewu pogrzebowego własnej swej kompozycyi i odprowadził wrzekome swe zwłoki na miejsce wiecznego odpoczynku. W kilka miesięcy potem rozbiegła się wieść, iż „książę szalony“ znów się pojawił, ku wielkiemu strachowi marszałków dworu. Zgorszenie było niesłychane.

Tylko stary dziad był uradowany tym wskrzeszeniem umarłego, a także pewna młoda kobieta, którą ks. Karol widział szczerze zasmuconą, całą we łzach, podczas pogrzebu. Zapomniał o przypadku, który przedstawił go jej niedawno przedtem, jako prawdziwego geniusza dobroci i siły: pewnego dnia, gdy prowadziła lekki swój wózek z jarzynami na rynek, przekroczyła jeden z tysiącznych przepisów policyi — miano ją aresztować, gdy ten Karol, przechodząc, kazał ją puścić w spokoju.

Książę skorzystał z mniemanego swego zgonu, by podróżować po Niemczech i poznać swą ojczyznę. Ale podczas całej drogi obraz młodej dziewczyny nie wychodził mu z pamięci. Dobroć jaśniejąca na jej obliczu zamieniała piękną jej dzikość na rodzaj powagi i wspaniałości królewskiej. Był naturalny majestat w ciężkich falach jej złotych włosów. Gdy powrócił, spostrzegł ją odrazu niedaleko od świty, czekającej jego przybycia. Wydała mu się jasnym dniem słonecznym, pełnym hiacyntów na łąkach i zielonych liści, pośród dni dżdżystych: uprzytomniała mu *Die Ruh auf dem Gipfel*, wszystkie chwile spokojnej radości, które spędził na szczytach górskich podczas swej podróży. Wkrótce potem jego nieśmiałe upodobanie zamieniło się na postanowienie: zrobi z niej swą żonę i potrafi ją obronić od żartów zgorszonych ministrów. „Idź prosto do życia“ powiadał jego nowy kodeks poetycki, a tu była właśnie sposobność, tu zupełnie realna „przygoda,“ z którą w porównaniu wszystkie jego poprzednie wysiłki zdawały mu się teatralnemi dziecińskwami, dobremi dla chwilowego oszukania nudy życia teraźniejszego. W schadzkach potajemnych poznali oba, poraz pierwszy, niewymowny czar kochania. Ks. Karol urządził wszystko dla swego ślubu, który miał wkrótce stać się publicznym. Szaleństwo to nadzwyczaj się nie podobało u dworu. Pewnej nocy kochankowie znikli w sposób nader tajemniczy. Dopiero w sto lat potem odnaleziono dwa ich trupy niedaleko Rosenmoldu, koło nawpół zrujnowanej wieży, gdzie miewali swe schadzki miłosne.

W tym marzycielu Pater uprzytamnia niejasne pragnienie ku odrodzeniu duchowemu Niemiec, które w rzeczywistości dokonane zostało dopiero przez pokolenie Goethego. „Surowa zima ściągnęła Men powłoką mocnego lodu, po którym łyżwiarze żywo krążyli. Byłem między nimi, nader lekko odziany i cały zmrożony od zimna. Matka moja w pięknem futrze z czerwonego aksamitu siedziała w karecie, spoglądając na ślizgających się. „Kochana matko — zawołałem pod natchnieniem chwili — daj mi twe futro, bo jestem zmarznięty.“ W jednej chwili miałem je na sobie. Spadało mi do kolan; bogato okryte sobolami i ozdobione złotem: było mi w niem bardzo do twarzy. Tak odziany, krążyłem wzdłuż i wszerz z sercem radosnem“ — pisze Goethe w swych „Pamiętnikach.“

Matka zaś jego tak opisywała ten przypadek Bettinie Brentano: „Tam ślizgał się syn mój, jak strzała pośród grup. Biegł po lodzie, jak dziecko bogów. Czegoś tak pięknego już teraz widzieć nie można. Klaskałam w dłonie z radości. Nigdy nie zapomnę, jak wylatywał z pod jednego sklepienia mostu, by skoczyć pod drugie, a wiatr unosił na nim pyszny płaszcz.“

W tej pięknej postaci Pater widzi urzeczywistnienie *Resurgum* niemieckiego, o którem marzył ks. Karol, samą nawet duszę księcia, gdy ona od okresu dążeń niejasnych przeszła wreszcie do życia realnego.

Dr. L. Winiarski.

W DALI.

Lublin. Gazeta miejscowa odgrzebała zapomnianą sprawę założenia szkoły realnej w Lublinie. Przed kilkunastu laty naradzano się nad tem, ale bezskutecznie. „Obecnie — pisze gazeta — gdy w Warszawie otwarto politechnikę, szkoła realna w Lublinie tem więcej jest potrzebną. To też można mieć nadzieję, że projekt założenia jej w Lublinie ze strony władz zostałby przychylnie przyjęty. Jeżeli zaś znalazły się stosunkowo dość znaczne fundusze na budowę teatru, to powinny się również znaleźć pieniądze na budowę gmachu szkolnego. Na samo zaś utrzymanie szkoły, zdaje się, stosunkowo niewiele trzebaby rocznie dopłacać, gdyż szkoła realna w Lublinie byłaby dla trzech gubernij: Lubelskiej, Siedleckiej i Radomskiej, nie można więc obawiać się, że uczniów byłoby za mało.“ W Lublinie powstaje druga drukarnia. Jest to fakt świadczący o rozwoju potrzeb w tym zakresie. *Lub. Gub. Wied.* donoszą, że liczba zbiegów z wojska austryackiego przybywających do gub. Lubelskiej, zwiększa się od lat kilku. W r. 1897 przybyło ich 8, w r. zeszłym 12, w r. b. do 13 września już 19. Jako przyczynę zbiegostwa podają oni liche pożywienie i despotyzm przełożonych. Z przeznaczonych dla nich do osiedlenia gubernij wybierają najchętniej Samarską i Astrachańską.

Kijów. We wsi Stawki, w pow. Radomyskim, gub. Kijowskiej, otwarta będzie niższa szkoła rolniczo-rzemieślnicza z kursem nauk trzyletnim. Pierwszeństwo przy zapisie otrzymają synowie włościan wsi Stawki, którzy będą zupełnie uwolnieni od wpisu, n dto zaś będą otrzymywali z zarządu szkoły bezpłatnie książki, kajety itp. materyały piśmienne. Pozostałe miejsca w szkole mogą być zajmowane przez inną młodzież, lecz i tu synowie rolników będą mieli pierwszeństwo. Dla synów mieszkańców wsi Stawek będzie urządzony internat, w którym obowiązkowo muszą wszyscy mieszkać.

Zamknięcie konkursu.

Dnia 1 października konkurs nasz na poemat został zamknięty. Dla ustalenia listy nadesłanych utworów, powtarzamy tytuły wszystkich łącznie z otrzymanymi w ostatnim tygodniu.

1) Verbum nobile, 2) Babunia, 3) Męczennicy, 4) Romans morza, 5) Stach Wirski, 6) Dla matki, 7) Świetlana, 8) Pan na Zarodzku, 9) Łzy i uśmiechy nasze, 10) Wśród burzliwych fal, 11) U źródeł Wisły, 12) Duet, 13) Dwie ofiary, 14) Ananke, 15) Dziadek, 16) Cztery pory roku na wsi, 17) Sen tatrzański, 18) Fantazya, 19) Przed ślubem, 20) Walka ducha, 21) Obłąkany, 22) Marzyciel i świat, 23) Gustaw, 24) Łabędzia pieśń, 25) Kazimierz Łyszczyński, 26) Reformator, 27) Z Gehenny, 28) Sen Szlązaka, 29) Żałoba, 30) Chrzest Litwy, 31) Pan Tadeusz i Zosia, 32) K., 33) Nad Bugiem, 34) Sen, 35) Gwiazda północna, 36) Posąg Wajdeloty, 37) Kazia, 38) Pieniądz i lira, 39) Cel życia mędrca — unicestwienie osoby, 40) Upadek Bolesława Śmiałego, 41) Na pikiecie, 42) Trzciny, 43) Los człowieka, Jak można nie wierzyć, 44) Polonez As dur, 45) Do przyjaciela ze wspomnień Żmudzi, 46) Baśń Nadwiślańska, 47) Wędrówka ludów do Brazylii, 48) Apoteoza — romans morza, 49) Wracające fale, 50) Lech, 51) Mój pastuszek, 52) Moja lira, 53) Legenda, 54) Ból, 55) Porzucona, 56) Powrót, 57) Złączone ideały, 58) Kutrymowie, 59) Przez głębinę, 60) Tam do końca, a nawet po końcu świata, 61) Noc dwóch wieków, 62) Z przeszłości, 63) Śmierć, 64) Logos, 65) Pod Lipskiem, 66) Indesa, 67) Concordia, 68) Ostatnie kartki, 69) Księga miłości, 70) Z dziejów duszy, 71) Dyabeł w Krakowie, 72) Nad Pilicą, 73) Zdzisław (wycofany), 74) Zofia, 75) Spowiedź, 76) Do M., 77) Bolesław Chrobry, 78) Noc Świętojańska nad Niemnem, 79) Powódź, 80) Sylwetka mieszczańska, 81) Czyja wina, 82) Śmierć, 83) Z przeszłości, 84) Konkurs, 85) Cudowne skrzypki, 86) Ballada północna, 87) Hafciarka, 88) Pierwotni, 89) Pieśń ziemi, 90) Król Popiel, 91) Przez tajgi, 92) Na wyspie, 93) Przełom, 94) Ze smutnej ziemi, 95) Wędrówki lirnika, 96) Z ziemi mazurskiej, 97) Polonez, 98) Sen Jermaka, 99) Praca, oszczędność, nauka, 100) Wyzwolenie, 102) Złączone ideały, 103) Mojej matce.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Towarzystwo weterynaryjne rosyjskie wkrótce utworzy swój oddział w Suwałkach. (*Pet. Wied.*).

— Główny zarząd więzienny gromadzi obecnie wiadomości o więźniach, dotkniętych chorobami umysłowemi, skazanych do ciężkich robót i na osiedlenie w Syberyi tudzież na osiedlenie za włóczęgostwo.

Szkoły. Z rozporządzenia, wydanego świeżo przez ministeryum oświaty, kurator warszawskiego okręgu naukowego zalecił władzy uniwersyteckiej, aby stosowano ścisłą kontrolę nad regularnem uczęszczaniem studentów na wykłady i punktualnym powrotem z urlopu. Nadto polecono przy udzielaniu urlopów zachowywać jaknaściślej przepisy, w tej mierze obowiązujące; na studentów, nie powracających w terminie z urlopów, nakładać należy kary.

— Inspekcya uniwersytecka zawiadomiła studentów, iż urlopy podczas roku akademickiego będą udzielane tylko w wypadkach wyjątkowych.

— *Syn Ot.* donosi, że celem przygotowania doświadczonego personelu dla przedsiębiorstw górniczych Towarzystwo inżenierów górniczych opracowało projekt urządzenia we wszystkich okręgach specyalnych szkół przygotowawczych z kursem teoretycznym górnictwa.

Kodeks cywilny. Komisya redakcyjna, układająca nowy kodeks cywilny dla Rosyi, ogłosiła drukiem projekt tytułu o zobowiązaniach. Jednocześnie wydano 5 tomów objaśnień do projektu. Redaktorowie nowego kodeksu nie mają na względzie zastosowania go w całości do Królestwa Polskiego i do gub. nadbałtyckich. Prawa miejscowe, powiadają, po ogłoszeniu kodeksu winny pozostać w swej mocy, albowiem najrozmaitsze właściwości miejscowego prawa nie pozwalają jeszcze na zupełne zlanie go z ogólnem prawodawstwem Cesarstwa. Lecz, oczywiście, mówią dalej, nie można zupełnie wyodrębnić Królestwa i gubernij nadbałtyckich. W tych razach, gdy co do pewnej instytucyi prawnej brak przepisów miejscowych — muszą być stosowane prawa ogólne. Tak np. prawodawstwo handlowe Królestwa zawiera w sobie różnorodne luki. Stąd więc przepisy o towarzystwach akcyjnych, o spółkach ze składem ruchomym, o ubezpieczeniu, o papierach na okaziciela znajdą w Królestwie zastosowanie (*Kuryer Codz.*).

Banknoty. Pomimo ogłoszeń ministeryum skarbu, co pewien czas powtarzanych, o wycofaniu ostate- [illegible] kredytowych na 25, 10 i 5 rubli, wzoru 1887 roku, zarówno pomiędzy publicznością, jak i handlującymi utrzymuje się mniemanie, iż oprócz wymienio-

nych banknotów wycofane też będą z obiegu trzy i jednorublowe. To mniemanie jest zupełnie bezpodstawne, gdyż co do wycofania banknotów trzy i jednorublowych nie wydano dotąd żadnego rozporządzenia. Bilety 5-rublowe, koloru niebieskiego, podlegające wycofaniu, mają rok wydania z lewej strony nie późniejszy niż 1894, a 10 rublowe, koloru czerwonego, 1892, i 25-rublowe, koloru liliowego, wszystkie z r. 1887, pośrodku biletu. (*Kuryer War.*).

Węgle. Ministeryum spraw wewnętrznych pozwoliło zarządowi m. Warszawy podnieść z funduszów miejskich 300,000 rb. na pokrycie wydatków przy utworzeniu osobnego zapasu węgli kamiennych, z przeznaczeniem na sprzedaż cząstkową mieszkańcom Warszawy. Jednocześnie pozwolono drobnym sklepikom nabywać ten produkt ze składów miejskich i sprzedawać publiczności ściśle według taksy oznaczonej. W razie nadużyć winni będą karani surowo.

Wystawy i zjazdy. D. 20 września otwarto w Poniewieżu pierwszą wystawę koni.

— W Płungianach otwarto (29 września) wystawę rolniczą, urządzoną przez **Michała** ks. Ogińskiego.

— W Suchum-Kale otwarto wystawę ogrodniczą i zjazd ogrodników.

— W roku przyszłym urządzona będzie wystawa międzynarodowa żeglugi powietrznej w Peter-[illegible]

— W grudniu r. b. odbędzie się w Petersburgu 3 zjazd budowniczych z całego państwa. Składka uczestników 10 rb. Przewodniczący p. E. Giber, główny sekretarz p. Siozor. Podczas zjazdu urządzone będą dwie wystawy: 1) architektoniczna i 2) materyałów budowlanych.

Koleje i komunikacye. *Torg. prom. gaz.* pisze, iż ministeryum komunikacyi, celem zmniejszenia wypadków kolejowych, określiło normy maksymalne składu pociągów osobowych, zamierza wogóle powiększyć liczbę pociągów, wagonów, parowozów i ustanowić pociągi dodatkowe każdorazowo, ilekroć normalny nie będzie mógł zabrać z danej stacyi wszystkich podróżnych.

— Zarząd kolei Warszawsko - Petersburskiej wprowadza oświetlenie elektryczne w pociągach pospiesznych.

Zmarli. Dr. Edward Rittner pod Wiedniem, były minister Galicyi, b. profesor i rektor uniwersytetu we Lwowie. Pozostawił w spuściznie rozprawy naukowe i dwa dzieła większ[illegible]

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Сентября 1899 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.